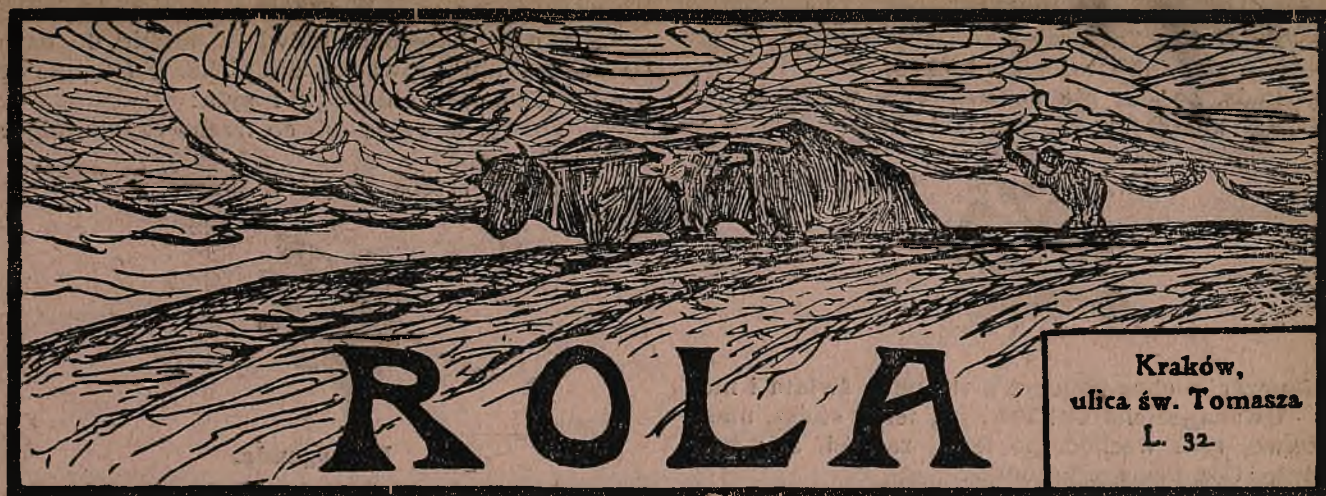
Numer 17. Należ. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 26 Kwietnia 1931



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Na muzyce.

— Pójdź Frącka tańczyć.
— Nie pude, bo mi się nie kce!
— Pódź, bo jak nie pódzies walę w trąbę!
— Na, kiedy juz tak prosis to ide...



Nauczyciel chce pouczyć o stronach świata i mówi: — Uważaj Michałku! Tak, jak teraz stoisz, masz po prawej ręce wschód, po lewej zachód, a z tyłu południe. Cóż masz z przodku?

— Michałek tryumfująco:

— Nos, panie nauczycielu!



Dowcipny.

— Powiedz jeno, Bartek, czemu to palisz tak okropnie śmierdzące cygara?

— Bo widzi pan, gdy usiądę przy stole, gdzie siedzą goście z letniska, ci nie znosząc mojej tabaki, częstują mnie swemi cygarami.



Odważny.

Odpalony: Gdy otrzymałem list odmowny od panny, chciałem w pierwszej chwili wyskoczyć oknem.

— I cóż cię wstrzymało?

— Szałona wysokość kamienicy.

W szkole.

Ksiądz katecheta mówi w szkole do dzieci: Dobre uczynki prowadzą do nieba. Następnie wywołuje jednego z chłopców i pyta:

— Janku, powiedz mi, co trzeba czynić, aby się dostać do nieba?

Janek: Trzeba najpierw umrzeć...



Propaganda.

— Czytałeś, że w Sowietach reparacja butów wykonywa się za kartkami?

— Mam wrażenie, że to kaczka puszczona dla propagandy.

— Jakto?

— Władze sowieckie pragną wmówić w zagranicę, że tamtejsi obywatele chodzą jeszcze w butach.



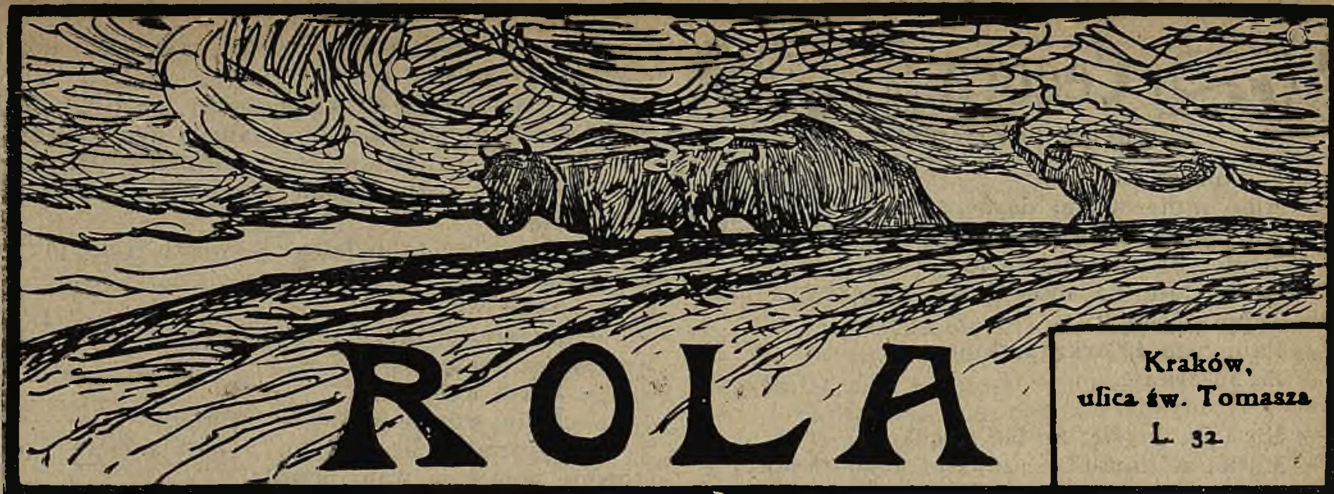
Podobieństwo.

Ty! kiedy się patrzę na gębę mojej majstrowej, przypominają mi się nocne restauracje.

— Czemu?

— Bo tak widziałem napisane: Dzień i noc otwarte!

Numer 17. Rok XIV. Kraków, dnia 26 kwietnia 1931.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Wiosenna pieśń.

O pieśni wiosenna! wiele serc ciebie słyszy, lecz mało rozumie...


Słyszysz pieśń cichą, modlitewną, płynącą od ciepłych promieni słońca, od borów nawpół sennych jeszcze, od łąk i pól przyoblekających się w cienką pierwszą sukienkę zieloną traw i zbóż? Czy słyszysz pieśń namiętną, idącą od wierzb soczystych wystrojonych w bazie srebrno-popielate, ową pieśń słodką z rytmicznem wtórem strumyka płynącego w dal i szeptem tajemnym fioletowych wieczorów i ciemno-zielonych nocy gwiaździstych, wiosennych, chłodnych jeszcze, lecz zdrowych, kryjących pod woalem powietrza wonne kadzidła pobliskiego maja?...

To wiosna świtająca tak cudnie śpiewa po wszystkich zakątkach naszej polskiej ziemi! To wiosna śpiewa, owa królewna z południa, ta czarodziejka fantazji, wielka artystka-malarka i rzeźbiarka co w świat Stwórcy rzuca mocą nadaną jej przez Niego piękne mozaiki kwiatów na łąki i drzewa i maluje je w cudne kolory swym czarodziejskim pędzlem i rzeźbi dłutem promieni słonecznych rośliny, drzewa i owoce, nadając im mądry i pożyteczny kształt tryskający duchem życia!

To wiosna, genjusz twórczości śpiewa pieśń odrodzenia na polskim ołtarzu wolności i niesie nam ukojenie za cierpienia doznane od długiej zimy. Niesie nam w darze stęsknionym promienną koronę słońca, życie, radość i zdrowie, oraz świetlaną nadzieję lepszej doli dla wszystkich stanów ludu!

Ta pieśń słodka i wonna przepojona liryką i marzeniem o raju na ziemi budzi w dobrych ludzkich sercach jakieś radosne oczekiwanie na cud Miłości — Prawdy i Dobrobytu!

O pieśni wiosenna! wiele serc ciebie słyszy, lecz mało rozumie... Wielu ludzi przy pieśni twej zapomina w sobie człowieka stworzonego na obraz i podobieństwo Boga i stają się podobni dzikim zwierzętom, opanowani orgją brudnych przyziemnych namiętności, bo owym zwierzęciom zdaje się, że wydzwaniasz na swej harfie słonecznej narodziny używania, rozkoszy zmysłowych, pozbawionych ideałów i bezbrzeżne lenistwo wśród kwiecistych łąk, zdrowotnych gór i ciszy pachnących lasów...

Rzeszo nienasycona orgją chuci! wiosenna pieśń o tem nie śpiewa! Gdybyś odszukała w swem sercu Boga, którego zabiłaś złemi myślami i czynami i wsłuchała się rozsądnie duszą całą w modlitewne szepty wiosny, rozdzwoniona po srebrzysto-popielatych baziach wierzb, po łąkach pachnących kwieciem i niebie o gwiazdach mistycznych, wyczułabyś w niej cały skarb złotych myśli, w które tchnął sam Bóg Swoją mądrość! Słyszałabyś w owej pieśni cudnej, wiosennej, modlitewne strofy splecione wieńcem pachnącym Wiary, słodko brzmiące:

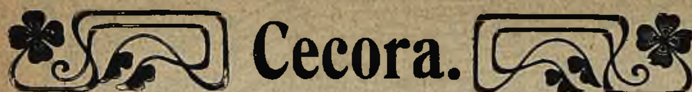
— Błogosławiony, kto słucha mojej pieśni złocistej, natchnionej Bogiem, pieśni, która mieści w sobie to wszystko, co Stwórca świata zawarł w księgach mądrości!

Bądź błogosławiona o pieśni wiosenna!

Zrozumiałem ciebie i razem z tobą modlę się, by zrozumiała owa rzesza ludów twoje strofy dzwoniące w promieniach słońca, woni kwiatów, kaskadach strumyków, po górach, dolinach, lasach i gwiazdach błyszczących, a wtedy, gdy wiosna czcić będzie święto całej pełni swego rozkwitu, spełni się oczekiwany cud Miłości, Prawdy i Dobrobytu!

Obyż ten cud jak najprędzej nastąpił, a kwiecista wiosna stała się dla nas odrodzeniem moralnem Narodu.

Józef Pachołek.



Cecora.

Powieść historyczna.

Jerzyk milczał.

— Albo mnie wolno dąsać się?

— Sam więc sobie pozwoleństwo dajesz, gdyś od pięciu dni na zamku nie był.

— Czeka tam na mnie kto? — jakby z przekąsem zapytał Jerzyk.

— Panny za fujarką tęsknią.

— Za fujarką!...

— A ty myślisz?

— Nic... Ja myślę, że iść trzeba.

— Matka w domu? — zapytał Jasinowski.

— A wy do niej po wróżby może?

— Co chcę, to chcę — ofuknął pan Symforjan i krok ku drzwiom zrobił.

— Przepraszam waszmość pana — odparł Jerzyk, zasłaniając drzwi sobą. — U matki jest dama pewna.

— Dama?...

Pan Symforjan usunął się w cień i usiadł opodal chaty, pod krzewem jałowcowym.

Po chwili drzwi mieszkania wróżbiarki skrzypnęły, postać niewieścia w czerni przestąpiła próg chaty i zbliżyła się do Jerzyka.

— Czy matka twoja wróżyć umie?

— Pocóżbyście z tak daleka przybyli, nie wierząc jej? — odpowiedział Jerzyk.

— A ty jak myślisz?

— Mnie nie wróżyła.

— Dlaczego?

— Dość tego szczęścia, co mam.

— Za smutno mi coś śpiewasz.

— Żalim nie człowiek? — odpowiedziało chłopię.

Gdy dźwięk kobiecego głosu dobiegł do uszu Jasinowskiego, pan Symforjan podniósł się z ławy i zbliżył się do rozmawiających. Niewieścia postać zwróciła się szybko ku niemu i stanęła w oświetleniu księżycowem.

Była to Adme.

Piękne jej czoło zmarszczyło się lekko, oczy czarne, jak dwa żarzące węgle błysnęły. Snadź rada nie była, że ją ktoś tu spostrzegł, ale poznawszy Jasinowskiego, uśmiechnęła się przyjaźnie i do powitania dłoń wyciągnęła.

— To waćpan? Gdzie a gdzie, to tutaj waćpana niespodziewałabym się ujrzeć.

— Ani ja was — odpowiedział Jasinowski.

— Mnie łacniej, bom niewiasta — chętniej od was ucha wróżkom dać mogę.

Spojrzała w niebo.

— Czas mi już wracać — dodała.

— Do Lwowa? — spytał pan Symforjan.

— A dokąd?...

— Czy Mitras jest z wami? — spytał Jasinowski.

— Co zaś!... Dopiero jutro się dowie, żem była tu. A jeżeli wam nie spieszno o wróżby dopytać, odprowadźcie mnie do karocy. Bywaj, Jerzyk! — zwróciła się do chłopca — a oto masz za przypilnowanie drzwi.

To mówiąc, wyciągnęła dłoń ze złotą monetą.

Jerzyk spłomieniał, cofnął się, brwi ściągnął i odpowiedział:

— Nie stałbym przy drzwiach, gdybym wiedział, że zapłacić za to zechcecie...

Skłonił się i znikł za progiem chaty.

— Dziwne chłopię! — rzekła Adme ku gościńcowi się kierując.

— A na honorze drażliwe, jakby nie z chłopskiego nasienia to pochodziło — odparł Jasinowski.

— Co waćpan tu robisz?. — spytała Mitrasówna. — Czy aż z Jagodyniec przybyliście do matki Swinczańskiej?

— Zadaleko to byłoby, a wróżb tak pilnych nie mam.

— Skąd więc?

— Z zamku, gdzie czasu wojny hetman nam wszystkim zostać polecił.

— Jakto wszystkim?

— Mnie, Suproniczównie i Halszce.

— Widziałeś się waćpan z hetmanem, czy listownie polecenie wam przesłał?

— Z pod Białego-Kamienia do nas przybył. Ale może waćpanna nie wiesz, że Halszka Jaszczołdówna jest pokrewną Żółkiewskim?

— Wiem o tem.

— Przybył do Jagodyniec z kawalerem pewnym — mówił Jasinowski.

W tej chwili Adme zatrzymała się.

— Z kim? — niby od niechcenia rzuciła pytanie.

O wycieczce hetmańskiej do Jagodyniec wiedziała od Gil-Gułły. Karzeł donosił, że hetmanowi towarzyszył Plichta i Kurzański. O Halszce wiedziała, że była dzieckiem sierocem i drogą hetmańskiemu sercu. Ale dlaczego Żółkiewski za towarzysza wycieczki wziął Plichtę? Wypadek to zrządził, czy rozmysł opiekuna Halszki? Jakiemi oczyma patrzył na pannę Jaszczołdównę? jak ona patrzała? Te pytania jak miecze skrzyżowały się w umyśle Admy i na chwilę dech w jej piersi zaparły. Stanęła i rzuciła pytanie Jasinowskiemu:

— Z kim?...

Ona wiedziała z kim hetman był, lecz czegoś więcej dowiedzieć się chciała.

— Z jakimś Plichtą — odpowiedział pan Symforjan.

— Z Konstantym Plichtą — dodała Adme i iść zaczęła.

— Znasz go waćpanna?

— Byłam u Swinczańskiej z myślą dowiedzenia się o losach pana rotmistrza.

Teraz Jasinowski zatrzymał się.

— To dziwne, jako jedną myśl mieliśmy! — zawołał.

— A cóż waćpana Plichta obchodzić może? — spytała Adme.

— Więcej, niż waćpanna domyślasz się.

— Ja nie domyślam się nic... ja nic nie wiem — może nie chciałabym wiedzieć nawet — odpowiedziała szeptem.

— Ten pan rotmistrz nie podobał mi się — zaczął Jasinowski.

— A pannie Halszce? — spytała Adme.

— Wpadł w oko...

Czarne brwi Adme zbiegły się nagle.

— A ona jemu?... — spytała, dech tłumiąc w piersi.

— Mnie się zdaje, że jemu każda z brzega do serca wpadnie. W lansady odrazu poszedł i bałamuctwa różne wyprawiać począł, a że serca niewieście odporności nie mają, więc może i zadygotało tam coś dziewce we wnątrzu. Ale widzisz waćpanna, to nie po mojej myśli...

— I nie po mojej — dodała córka Mitrasa.

— Jasinowski spojrzał w twarz Admy.

— Waćpanna pobladłaś — rzekł.

— Nie zważajcie na to i dalej prawcie — ino prawdę! Wam nie po myśli pan rotmistrz, a czegoście od Swinczańskiej chcieli?

— Chciałem wiedzieć, jak mu na wojnie pójdzie.

— Czy z rotmistrza pułkownikiem nie będzie? — rzuciła Adme z przekąsem.

— Nie — odpowiedział szybko Jasinowski — chciałem dowiedzieć się, czy go czasami Turek nie ubije!...

— Na miłość Boga! — krzyknęła Adme.

Pan Symforjan znowu w twarz jej spojrzał.

— Czy to czasem wy go nie miłujecie? — zapytał.

Szybkie falowanie piersi nie pozwoliło zrazu odpowiedzieć Admie, ale przemogła się prędko, głęboko odetchnęła i patrząc prosto w oczy Jasinowskiemu, rzekła:

— Tak, ja!

— To ślicznie! — zawołał pan Symforjan.

— I powiedz pan Halszce — mówiła Adme — że niech jej broni Bóg, jeżeliby chciała sercem przylgnąć do niego. Ja więcej od niej mam praw; nie jej on, lecz mnie... ślubował.

— Ślubował?...

— Tak — szepnęła Adme.

Czuła, że powiedziała kłamstwo, lecz ono na zawsze mogło oddalić Halszkę od wybranego przez nią. Mówiła wszystko i mówiła otwarcie, tembardziej, że w Jasinowskim, jak to łatwo dostrzegła, nie przeciwnika swych myśli znalazła.

— A trzymajże go waćpanna i nie puszczaj! — zawołał pan Symforjan. — Łaska Boża zrządziła, żem tu spotkał się z wami. Ten Plichta jednak nie musi być statecznik, bo nie godzi się, ślubowawszy, choćby dla krotochwili, do innej dziewki brać się. Dziękuję waćpannie za otwartość, lżej mi na duszy się zrobiło, jednak...

Utknął.

— Jednak?... — spytała Adme.

— Dopóki go Turek nie urzeze, spokojny nie będę.

— Waść chyba mojej chcesz śmierci — rzekła Adme.

— Gdybyście zmarli, a on żył, to wtedyby napewno Halszki nie puścił, choćby mnie na złość czyniąc.

— I wtedyby nie wziął jej — rzekła Adme.

— A to jak? — spytał Jasinowski.

— Upiorembym przyszła i rozdzieliła ich.

Pan Symforjan dreszcz uczuł.

— Na zatracenie duszy własnej i cudzej — rzekła Adme.

Spokój, z jakim to wypowiedziała, przeraził Jasinowskiego. Zezem spojrzał na idącą tuż obok siebie Adme i wydało mu się, że szedł przy nim cień jakiś, raczej sunął się ten cień, czarny, o czole pięknem lecz posępnem, brwiach ściągniętych, oczach płomiennych i wargach, jak mu się wydawało, drżących lekko..

— I cóż wam mówiła Swinczańska? — po chwili zapytał.

— Będzie żyw.

— A waszym czy będzie? — podchwycił.

— Zdobyć go muszę — odpowiedziała Adme.

— Zdobyć — jak? — odezwał się Jasinowski.

— I ja pytałam ją o to.

— Co powiedziała?...

— „Rozsunie się przed wami mgła, gdy czas przyjdzie".

— Zrozum to, waćpanna, zrozum! — szepnął Jasinowski.

— Ale wy nie zapomnijcie szepnąć pannie Halszce, że on mój... .

— Prędzejbym o pacierzu, niż o tem zapomniał.

Po chwili milczenia spytał:

— Znacie go oddawna?

— Od lat dwóch.

— A miłujecie?

— Od tych dwóch lat.

— Czemuście się nie wydali dotąd?

— Wojny, wciąż wojny — szwedzka, moskiewska, a teraz ta — może najstraszniejsza.

— Odwiedzał was często?

— Byle okazja.

— A całował?...

Adme powstrzymała kroku i obejrzała się wokoło.

— Widzisz waćpan to drzewo? — spytała, wskazując na brzozę nad urwiskiem rosnącą.

— Widzę — rzekł Jasinowski.

— Zlicz liście tej brzozy, a liczbę jego pocałunków znać będziesz.

Jasinowski zatrzymał się i brzozie przypatrywać zaczął, jakby miał zamiar do obrachunku wziąć się; później głową poruszył parę razy i zwracając się do Admy odezwał się:

— I wytrzymaliście?... no, no!...

Wyszli na gościniec — karoca Mitrasa podjechała.

— Wy dokąd teraz? — spytała Adme, siadając do pojazdu.

— Na zamek.

— Nie do Swinczańskiej?

— Nic lepszego nie dowiem się od niej, nad to, com się od was dowiedział. Ślubował wam, a to grunt! Ksiądz żaden ślububy mu nie dał, gdyby się naparł nawet. Na spowiedzi świętej o wszystkiem powiedziećby musiał, a teraz i tamta go nie zechce, gdy o tem jej powiem.

— Czy jeno słowom waszym uwierzy? — szepnęła Adme.

Jasinowski zakłopotał się.

— Uwierzy, nie uwierzy, ale turbacja będzie niemała.

— Lepiej jej, gdy uwierzy; gdy nie uwierzy — ja stanę przed nią...

Zasunęła się w głąb karocy — konie ruszyły.

Jasinowski w łeb się stuknął.

— Święty Symforjan czuwa nademną; inaczej nie może być, bo złym byłby patronem...

Spojrzał na brzozę.

— Radyby tu i królewscy rachmistrze nie dali! — rzekł.

Po chwili mruknął:

— Ale będzie żyw!...

I krokiem pospiesznym do zamku poszedł.

W chacie Swinczańskiej, w kominie, dopalały się dwie kłody drzewa sosnowego. Swinczańska siedziała na zydlu i w ogień patrzyła; opodal, plecyma o ścianę oparty, stał Jerzyk i drżącym głosem mówił:

— Tak, matuś, tak — wyście mi szczęścia nie dali!... Poco mnie było na naukę słać, w głowie rozjaśniać, gzło grube z grzbietu zrzucać, a ręce od ziemi czarnej odrywać?...

— Lepiej mi było w Rzeszowie pozostać i pasać konie na łąkach świnczańskich, niż strój ten jedwabny mieć na ciele chłopskiem, w którem dusza już uszlachcona spokoju znaleźć nie może i burzy

się, gdy jej ktoś od chamskich synów urąga, gdy nikt inaczej nie odezwie się, jak: ty — weź — idź — stój przy drzwiach, a później... później płacą! O, matuś moja, coście zrobili ze mną?... Ani tu ostać, ani do swoich już wrócić!... Niechby kto i policzek dał, ledwie można płomieniem buchnąć, lecz krzywdy swej na ostrzu szabli położyć nie można. Źleście kochali mnie, matuś źle!... Nie winuję was, nie skarżę, boście myśleli dobrze, a jeno źle wyszło... Ach! matuś, wy nie wiecie, jak serce mi się rwało, gdy z zamku żółkiewskiego wychodzili żołnierze na bój... Szli może na śmierć, ale to nie śmierć taka, gdzie swoi patrzą... hetman patrzy, a ona duszę z piersi zrąbanej zabiera w oczach wszystkich i niesie przy huku trąb, przy szczęku mieczy, do Pana Boga niesie!... O! matuś moja — ja tak nie umrę, jak oni; takiego grobu, jak oni, nie będę miał, ni nademną chorągwie zaszumią, ni rycerze się pomodlą, ni hetman westchnie!...

— A moje łzy?... — przerwała Swinczańska.

Jerzy do kolan jej przypadł i w głośny płacz wybuchnął.

— Matka winna — mówiła dalej Sonka — że o lepszej doli dla ciebie marzyła; matka winna, że noce całe nie spała a tuliła, pieściła i o wdzięczności, gdy podrośniesz, roiła... Bij ją, synu! za włosy, za te siwe włosy ją weź i targaj i bij!...

— Matuś! — jęknął Jerzyk.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Spóźniona wiosna.

(Żartobliwa legenda).

Razu pewnego bardzo długa zima srogo ludziom dokuczała i naigrawała się z biedaków. A byli między nimi i tacy, którzy nie mieli już raz na dzień czem się posilić, ani ogrzać! Prosili Pana Boga, ażeby jaknajprędzej była już ta wiosna! Człowiekby prędzej jakoś odetchnął świeżem powietrzem to i siłby nabrał i prędzejby dzień zeszedł i o biedzie zapomniał!

— Boziu daj wiosny, Boziu daj wiosny! — prosiły małe dzieciątka, składając zimne rączęta, kuląc się na brudnym nędznym wyrku, zarzuconym garścią słomy i paru poszarpanymi łachami, lub siedząc na zimnym piecu przytulone do siebie, marzyły o ciepłej wiośnie.

— Boże daj wiosny! — prosili staruszkowie. — Człowiekby prędzej się wywlókł na dwór, pod ścianę, do słońca.

A tu ani rusz! Zima głucha na prośby, nieczuła na ból!

— Boże daj wiosny, — prosili pastuszkowie — ażeby to bydełko wygnać na zieloną trawkę i pobiegać swobodnie, a kręcić ligawki, a grać... hej, hej!

Słuchając tego, Pan Bóg posłał świętego Macieja Apostoła, ażeby rozsiał na ziemi wiosnę!

Święty Maciej szedł po świecie i nie wiedział, gdzie ma rozpocząć siew. Znużony wstąpił do przydrożnej gospody, aby trochę wypocząć! W gospodzie było ciepło i gwarno. Święty Maciej przypatrywał się z kąta, jak przychodzą różni ludzie, zmarznięci i smutni, a wypiwszy po kilka kieliszków jakiegoś słodkiego płynu, stają się wesołymi, rozmownymi i bardzo szczęśliwymi. Przybliżywszy się do lady, kazał sobie podać kilka kieliszków tego cudownego napoju! Stał się i on takim wesołym. Stał się przyjacielem wszystkich. Zapomniał zupełnie, poco właściwie przyszedł na ten świat!

Po kilku godzinach takiej wesołości zasnął snem sprawiedliwego.

— Boże daj wiosny! — płynęły w dalszym ciągu westchnienia z tej ziemi.

Pan Bóg, widząc, że wiosny jeszcze niema, posłał znów świętego Grzegorza, aby się dowiedział, co się stało, że święty Maciej do tego czasu wiosny jeszcze nie rozsiał po świecie!

Święty Grzegorz zeszedł na ziemię, szukając świętego Macieja. Aż oto znalazł go w gospodzie w bardzo wesołym humorze!

Zdziwił się święty Grzegorz tej wesołości świętego Macieja. A święty Maciej z wielkiej uciechy uraczył swego świętego towarzysza.

I ten też zapomniał wkrótce poco przyszedł!

A tu tymczasem ziąb trzymał aże hej!

— Boże daj wiosny, Boże daj wiosny! — znów gorące prośby leciały do Pana Boga!

Pan Bóg teraz zawołał do siebie świętego Józefa i mówi Mu, że już dwóch świętych posłał na ziemię, ażeby rozsiali po świecie wiosnę. A tu wciąż nowe prośby o wiosnę napływają.

Poszedł święty Józef za swoimi poprzednikami na ziemię. A znalazłszy Ich w gospodzie, zaczął Im robić wyrzuty, że dotąd jeszcze nie spełnili Bożego polecenia. Lecz Oni bardzo wesoło zaczęli Mu rozpowiadać, jak Im to czas prędko upłynął, że na ziemi nie jest tak źle! Że jeszcze na wiosnę czasu jest dosyć, Przytem poraczyli Go słodkim miodem, którego dobry gospodarz Im nie żałował, poznawszy co to są za goście!

Zjawili się też różni karjerowicze i przejezdni handlarze trzodą chlewną. Mając trzosy dobrze nabite setkami i tysiączkami złotych polskich, nie żałowali słodkich trunków naszym świętym gościom! Każdy bowiem miał do nich pewną prośbę o wstawiennictwo do Pana Boga. A tymczasem powiadają:

— Macie czas! — Biedacy nie uciekną!

A w duszy sobie myśleli, że jak wiosny dłużej nie będzie. to oni za bezcen wykupią od biedaków wszystko!

— Boże daj wiosny! — coraz goręcej leciało do Pana Boga z tej biednej ziemi.

Zawołał tedy Pan Bóg do siebie świętego Wojciecha i rzecze mu tak:

— Idź święty Wojciechu na ziemię, tam siedzą w gospodzie święci: Maciej, Grzegorz i Józef, których posłałem siać wiosnę po świecie. Weź sobie swoje berło a dobrze Ich wygrzmoć!

Poszedł święty Wojciech na ziemię a wpadłszy do gospody, jak zaczął berłem kropić, tak wszyscy pouciekali, gdzie który mógł! A porwawszy nasienie wiosny wybiegł na pole, rozsiał je po świecie na wszystkie strony!

Dopiero teraz zrobiła się wiosna w całej pełni. Lecz od tego czasu wiosna zawsze tak kaprysi od świętego Macieja, aż do św. Wojciecha. Dopiero po św. Wojciechu mamy zawsze prawdziwą wiosnę.

Szczepan Orzech.

Kara Boża.



Jesienny wicher hulał po lasach karpackich, giął drzewa i odrywał z nich zżółkłe liście. Oderwany liść, niesiony wiatrem, bujał chwilę w powietrzu, póki nie natrafił na przepaść, aby na jej dnie spocząć na zawsze.

Hulał wicher, potrącał liście, a poigrawszy z nimi, wciskał się do chaty Szymona Krzemyka, który siedząc przy dębowym stole na kogoś niecierpliwie czekał.

Szymon Krzemyk był to góral, lat około 35, czerstwy i zdrowy. Z twarzy jego biła jakaś zuchwałość, a wzrok wskazywał, że coś na dnie duszy nurtuje z czemby się Szymon nie rad był przyznać przed światem.

I teraz siedzi w zacisznej chacie, a wzrok jego jakiś niepewny co chwilę spoczywa na drzwiach, jakby się tam spodziewał kogoś zobaczyć.

Nareszcie drzwi skrzypnęły i do chaty wszedł młody jeszcze parobczak w stroju góralskim, lat około 25.

— Nareszcie! — zawołał Szymon, podnosząc się z ławy. — Myślałem, że już nie przyjdziesz, a tu czas najwyższy do roboty. Noc taka, że na palec przed sobą nikogo nie zobaczysz.

— Noc dobra, gazdo Szymonie — odrzekł młodzian — ale mnie jakieś dziwne przeczucie mówi, że wyprawa nasza dzisiejsza nie skończy się dobrze. Możeby lepiej zaniechać?

— Zaniechać?... Oszalałeś, czy co? — wybuchnął Szymon. — Sposobność taka drugi raz się nie trafi! Od Cymy wszyscy starsi wybrali się na odpust, zostały same dzieci: ani pies nie zobaczy, jak my staremu podbierzemy trochę grosza.

Stał tak Szymon, a wzrok jego więcej mówił, jak słowa. Cała pożądliwość cudzego dobra skupiła się w jego wzroku i oszpeciła twarz przedtem piękną.

Skorzystała z chwili milczenia Naścia, żona Szymonowa: przypadła do niego i na kolanach zaczęła błagać:

— Nie chodź, gołąbku, na kradzież, nie chodź!

Szymon odtrącił żonę i skierował się do drzwi.

— Gdyby człek nie przykradł — rzekł jeszcze od drzwi — z głoduby trzeba zdechnąć...

Wybiegła Naścia za nim i prośbą starała się zawrócić męża z drogi, lecz naprożno! Odtrącił ją brutalnie i zniknął w ciemności. Wróciła biedna kobieta do chaty i łzy strumieniem popłynęły z jej oczu.

Tymczasem Szymon ze swym towarzyszem, utykając w ciemności, szli ku chacie Cymy, stojącej na drugim końcu wsi a zasłoniętej od niej górami. Utykając, zdołali zajść w zagłębienie, w jakiem znajdowała się chata Cymy, po niedługim czasie znaleźli się obok niej.

Naradziwszy się chwilę, postanowili podkopać się pod przycieś komory i tą drogą dostać się do pieniędzy zamożnego gazdy. Nie zwłócząc zabrali się do roboty. Po niedługiem kopaniu otwór był tej wielkości, że człowiek mógł się przez niego przesunąć. Szymon, kazawszy towarzyszowi mieć pilne baczenie na wszystko, począł sam wsuwać się w wykopany otwór.

Z początku szło wszystko dobrze, ale gdy już głowa jego znajdowała się w otworze, poznał, że stoi nad nim jakaś beczka. Nie namyślając się długo, pchnął głową beczkę, aby sobie dalszą drogę utorować. Lecz to było właśnie jego nieszczęściem. Beczka, napełniona kapustą, była zbyt ciężką, aby się dała odsunąć. Owszem, poruszona, przechyliła się nad otwór i przycisła sobą Szymona.

Towarzysz jego, domyśliwszy się po jakimś czasie, że z Szymonem coś dzieje się niedobrego, a chcąc poznać, coby to było, zapalił zapałkę i pochylił się nad otworem. Widok, jaki tam zobaczył, przeraził go do tego stopnia, że wypuścił z rąk palącą się zapałkę i począł uciekać. Od porzuconego ognia zajęły się trzaski i gałęzie rozrzucone obok domu Cymy i po chwili łuna rozlała się po niebie.

Nieprędko ludzie zobaczyli pożar, gdyż w nocy każdy spał spokojnie. Dopiero, gdy dach już spłonął, ktoś jasność zobaczył, a ten pobudził innych. Rzucono się na ratunek, który o tyle był łatwiejszy, że opodal płonącej chaty płynęła rzeka. Zatamowano w niej wodę i skierowano ku ogniowi. Ale ogień pochłaniał już resztę chaty.

Nikt nie mógł się domyśleć przyczyny pożaru, jedna tylko Naścia przeczuwała ją. Gdy przez cały dzień następny Szymon nie powracał, poszła na miejsce pogorzeli, zalane ciągle wodą, aby tam szukać śladu swego męża. Jakoż znalazła niezadługo parę strzępów ubrania i trochę spopielałych kości.

Załamała ręce, a łzy rzęsiste popłynęły z jej ócz...

MACIEK BZDURA GADA:

Franek od Furgaca to ma łeb, jak ciężka choroba. Jak przyjdzie zmówić Ojcenas, to ledwie do Królestwa niebieskiego dociągnie i jesce się pyta, lacego Królestwo jest niebieskie, a nie zielone albo carne. A juz do piekła, choć go nieraz nieboscka matsia namawiali, ani rus postąpić nie chce, bo powiada, ze jemu piekło zupełnie niepotrzebne. Taksamo przy Zdrowaśku; ledwie zacnie a juz końcy, a gdy się mu gada, zeby się modlił uciwie, to wsiędzie na ciebie z pyskiem, ze coby jegomościowie robili, jakby byle bejdok chleb jem odbierał. A zreśtą chyba i Panu Jezusowi przyjemniej gadać z uconą osobą, jak z byle kim.

Gadałem mu, ze u Pana Jezusa wszyćko jedno, cy to pan, cy chłop, ucony, cy prostacek. to Poniezus kuzdego słucha chętnie, byle ino do Niego prawdę mówił. Ale gadajze z głupiem!

— Juści! jednako! — powiada mi na to Franek. — Przecie chyba Poniezus większy pan od pana organisty, albo od rzońcy ze dwora? A cemu ani pan organista, ani rzońca nie gada ze mną tak grzecnie i tak długo, jak z Magdą wójtowną, lub choćby z samą wójtową? Przecie sam widziałem, jak pan organista zacął serdecnie gadać z Magdą za łujkową stodołą, to jaze wójtowa musiała wyjść z zarnówką, aby się to gadanie przed świtaniem skońcyło. A jak ja chciałem se wkiejsik z panem organistą pogadać, to się odwrócił odemnie i posedł do Baśki Łonuconki. Tak ono chyba i Poniezus z jednemi gada chętniej, a z drugiemi całkiem gadać nie chce, to i poco Mu będę cas zabirał. Zreśtą przecie wiadomo, ze świat wielgi, a jak zacną do Pana Jezusa gadać i w Hameryce, i w Afryce, i w Azyji, i na lądzie, i na wodzie, i pod ziemią, i w powietrzu, to się Mu taki harmider zrobi w niebie, ze ani nie wie, co i kto gada. Poco se więc będę psuł gębę po próżnicy?

Z tego Frankowego gadania poznałem, ze on co do modlenia się to jest całkiem głupi, ale zaraz w następną niedzielę przekonałem się, ze do inksych rzecy ma pieroński rozum. Kaśka wójtowna, młodsa siostra Magdy sprawiała krzciny. Stało się jej niescęście i musiała sprawić krzciny. Powiadają, ze niescęście znaleźć mozna wszędzie: i w chałpie, i na polu, i na górach, i w dolinach, i w lesie, i na wodzie, i w powietrzu, i wszędzie. Tak było i z Kaśką: posła na gałązki do lasa, owionął ją jakisik zdradziecki wiater i musiała sprawić krzciny. Wójt się złościli, wścikali się wójtowa, ale nie sposób przecie było trzymać w chałpie małego zydka, więc trzeba było sprawić krzciny. Matka była, dziecko było, więc i musiały być krzciny, a choć ojcem niewiadomo kto był, to przecie jak się sprosi całą wieś, to się moze i na jednego ojca natrafi. Latego tez wójt oznajmili na zebraniu gromady, ze na krzciny Kaścynego dziecka przyjść moze kuzden. To tez w niedzielę po krzcie kościelnem przysed do wójta prawie kuzden, kto chciał, przysed tez i Franek od Furgaca. Przysed, stanął se przy drzwiach i patrzy, co dalej. A tu w jalkirzu za stołem siedzi se pan organista, siedzi podwójci, siedzą co starsiejsi gospodarze i wsuwają pierozki, grubo podlane masłem. Oblizał się Franek raz, oblizał drugi i patrzy na wójtową litosiernem okiem, cy ona go też i jego na te pirozki nie poprosi. Ale gdzietam! Coprawda, to wójtowa zblizyła się do niego i zuźrawsy jego hapetycny wzrok, pada:

— Franek! A mozebyś tak zimniacków z barscykiem? Ha?!

Coprawda, to Franek był w sam raz głodny nawet na zimniaki z barscykiem, ale pomyślał se, ze na krzcinach przecie grzychby było jeść takie codzienne jedzenie. Gdyby baby mogły codzień mieć choć jednego pędraka i codzień sprawiać choć jedne krzciny, toby na nich mozna jeść i codzienne jedzenie. Ale jak ućciwa panienka musi cekać na pirsego brzdąca i parenaście lat, a jak się juz doceka, to i potem muszą być kilkomiesięcne przerwy la odpocynku, to taką urocystość wypada przecie ućcić pirogami z pytlowanej mąki i z krowskiego syra. A co mu z tego, ze tam w jalkirzu wsuwają inksi ukochane pirozki, kiedy on ani ich powąchać ni moze. Powiada tedy do wójtowej.

— Bóg zapłać, krzesnomatko, ale nie będę jadł. Ja tu ino tak w przechodzie, bo idę do krzesnomatki Podkułkowej; zaprosili mnie na pirogi, a takich pirogów, jak krzesnomatka Podkulkowa, zadna inksa gosposia we wsi zrobić nie potrafi. Podkulek powinni być wójtem, a Podkulkowa wójtową, toby ludzie wiedzieli, jak i co jest...

— Co? Podkulkowa? Ta stara carownica? A bodajci język skołcał! Ona, powiadas, lepse pirogi odemnie robi? A cyś ty jadł moje pirogi? Gdybyś jadł, pewniebyś nie łgał. A jageś nie jadł, to chodźze i spróbuj, a będzies widział, ze takich pirogów, jak ja, ani cysarzowa hamerykańska zrobić nie potrafi!

Mówiąc to, wójtowa złapała Franka za kapotę i zaciągła go do jalkirza, gdzie siedzieli najpoważniejsi gospodarze, i podsunęła mu pod samą brodę całą misicę złocistych pirogów tak, ze Franek ledwie do wiecora z niemi się uporał, a potem go bez tydzień brzuch bolał. Do Podkulkowej nie posedł po pirse latego, ze go ta wcale na pirogi nie prosiła, a po drugie, ze nawet ani syra, ani mąki w całej chałpie na pirogi nie miała.

Okazało się z tego, ze choć Franek do pacirza był głupi, to do pirogów miał rozum i niewiadomo, cyby se nawet sami jegomość potrafili tak przyścipnie poradzić.

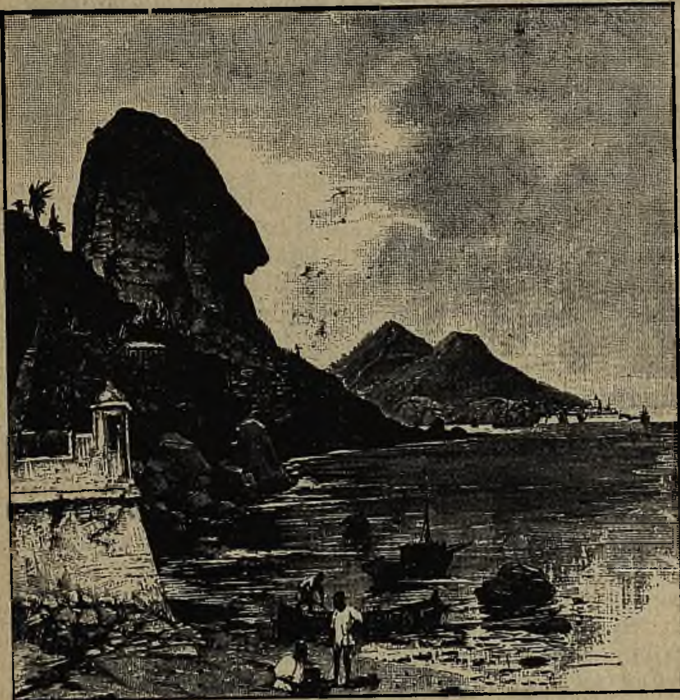
Pieśń rolnika.

Skoro tylko rano wstaję,
Zaraz krzyżem znaczę głowę
I do pracy się udaję,
Pokąd starczą siły zdrowe.
Gdy wyjeżdżam w pole z rana,
Żegnając się z miłym progiem,
Wznoszę myśli swe do Pana,
By zaczynać wszystko z Bogiem.
A gdy już swą rolę orzę,
By siać na niej ziarno złote,
Modlę się do Ciebie Boże:
— Błogosław moją robotę.
Gdy po miłej, ciepłej wiośnie
Słoneczko ziemię ogrzeje,
Moje zboże w górę rośnie,
Aż się doń ma dusza śmieje.
Gdy wtenczas zobaczę chmurę
Na czystym niebios lazurze
Wznoszę błagalny wzrok w górę,
By Pan Bóg odwrócił burze.
By te moich prac zagony
Burze, grady omijały,
Bym z nich zebrał piękne plony,
Miał dość chleba — i kraj cały.

Andrzej Dej.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Brazylja II.



Wybrzeże brazylijskie.

Chcąc dostać się do Brazylji, najlepiej jest zajechać okrętem do jej stolicy Rio Janeiro. Jest to miasto tak wielkie, mniej więcej, jak Kraków, a leży nad piękną zatoką morską. Jak wiadomo, Brazylja składa się z 20 oddzielnych stanów, z których każdy rządzi się własnemi prawami, a dopiero razem wszystkie tworzą jedną rzeczpospolitą. Stolicą więc całej rzeczypospolitej brazylijskiej jest Rio Janeiro.

Krajobraz wybrzeży brazylijskich jest prześliczny. Z pokładu okrętu można się napatrzyć dowoli malowniczym brazylijskim wybrzeżom, widok zaś ten na każdym niemal nowoprzybyłym potężne i głębokie wywiera wrażenie. Widoczek wybrzeży brazylijskich mamy właśnie na naszym pierwszym obrazku.

Trudno zaiste wyobrazić sobie coś bardziej zdumiewającego, imponującego i majestatycznego, jak panorama gór, widzianych z zatoki Rio Janeiro. Góry te istotnie przedstawiają najwspanialszy obraz na całej kuli ziemskiej, który tem silniejsze pozostawia po sobie wrażenie, że się różni całkowicie od górskich krajobrazów, napotykanych w innych częściach świata, a zwłaszcza w Europie. Dzięki gorącym promieniom słońca i ogromnej wilgoci w powietrzu trawa, drzewa i liany nietylko u podnóża, ale i na stokach gór, zdają się nawzajem prześcigać, tłocząc się, wijąc i pnąc w rozmaitych kierunkach, albo też wspinają się na potężniejszych od siebie sąsiadów i czerpią z nich soki, jako pasożyty. Na takim nawet gruncie, który w innych warunkach nie zdołałby wyżywić żadnej organicznej istoty, jak naprzykład na skałach porfirowych i granitowych, w pionowym piętrzących się kierunku, zieleni się bogata roślinność, gdyż ciepło i wilgoć nawet na powierzchni skały wytwarza niezbędny pokarm dla roślinnych organizmów. Dzięki temu oczom zdumionego wędrowca przedstawia się zbita warstwa zieloności, pnąca się aż do samych szczytów górskich.

Malowniczo też przedstawia się zatoka Rio Janeiro. Widzimy ją na naszym drugim obrazku. Ale już sama stolica olbrzymiego kraju nie odznacza się niczem wybitnem. Zasługuje w niej chyba na uwagę wielka rozmaitość typów, to z ostremi lub spłaszczonemi nosami, to z jasnemi, gładkiemi, lub czarnemi i kędzierzawemi włosami, na każdym bowiem kroku napotykają się tam przedstawiciele trzech główniejszych ras ludzkości: białej, czarnej i miedzianej.

Wszyscy prawie ci ludzie ubrani są czarno od stóp do głowy, nikt bowiem z mieszkańców, zajmujący jakiekolwiek stanowisko społeczne, jak np. urzędnik, adwokat, kelner, lekarz, kupiec lub przemysłowiec nie włoży nigdy innego kapelusza, jak tylko cylinder. Szare palto i słomiany kapelusz uważane tam są za oznakę niskiego, gminnego pochodzenia. Wogóle Brazylijczycy chwytają chciwie chociaż powierzchownie zdobycze cywilizacji europejskiej, poczytując odświętne ubiory Europejczyków, jako jedynie godne postępowego i oświeconego brazylijskiego narodu.

Dziwnie niemiły jest widok niezgrabnych tych ludzi, atletycznej budowy ciała, pocących się wiecznie pod prostopadłemi promieniami słońca, — jednak ubranych zawsze w czarne sukienne surduty, po większej części wytarte i szkaradnie uszyte, tudzież w wysokie kapelusze, które już oddawna utraciły połysk. Biały ubiór i słomiane kapelusze noszą tu tylko cudzoziemcy, ale i ci często dla zjednania sobie miejscowych obywateli stroją się na czarno.

Wogóle charakterystyczną cechę mieszkańców brazylijskiej stolicy stanowi próżność, lekkomyślność i chełpliwość, lecz zarazem niepodobna im odmówić wielu stron dodatnich, a zwłaszcza gościnno-



Zatoka w Rio Janeiro.

ści i dobroczynności. Rzec nawet można, że nigdzie może filantropja nie jest tak dalece posunięta, jak w Rio Janeiro. Szpitale, ochronki, przytuliska i inne dobroczynne zakłady rozporządzają ogromnemi funduszami, do których rząd nie dodaje ani grosza, wszystko bowiem jest dziełem ofiarności i wspaniałomyślności prywatnych obywateli.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na bezludnej wyspie.

Powięść awanturnicza.

ROZDZIAŁ XVI.

Zawód doznany był ciężkim ciosem dla Godfreya. Spędził więc noc niespokojną. Co parę chwil zrywał się na równe nogi, przekonany, że od morza dolatują jakieś wystrzały... A może jednak statek zwrócił wreszcie uwagę na płomień, który z daleka wygląda zapewne na ogromną pochodnię i dobija do brzegów, sygnalizując swe przybycie wystrzałami?

Godfrey począł nadsłuchiwać... Niestety, wszystko było złudzeniem jego przedrażnionych nerwów. Po nocy fatalnie spędzonej starał się zapomnieć o wczorajszym zawodzie, powtarzając sobie raz po raz, że ów rzekomy okręt był tylko wytworem jego rozognionej wyobraźni!

A jednak nie! Z całą pewnością widział był okręt w odległości 2—3 mil od wyspy i z całą też pewnością wie, że okręt ten nie przybił do brzegów.

O tym swoim gorżkim zawodzie nie wspominał ani słówkiem przed Tartelettem.

Około godziny czwartej popłudniu, Tartelett, zgodnie ze swym zwyczajem, ruszył na wybrzeże, w kierunku „Wzgórza sztandarowego“ dla poszukiwania ostryg, gdy wtem Godfrey ujrzał go biegnącego z powrotem, jak tylko umiał najszybciej. Rzadkie włosy dębem mu stały na głowie, a w oczach widniało przerażenie.

— Co się stało? — krzyknął Godfrey, zaniepokojony jego wyglądem.

— Tam! Tam! — wykrztusił Tartelett, palcem wskazując ku morzu, którego drobny tylko skrawek widniał poprzez gąszcz drzew.

— Cóż tam jest takiego? — spytał Godfrey i odruchowo począł już biec ku morzu.

— Łódź! Cała flotyla...

— Łódź? Flotyla?...

— Tak, wielka łódź!... Z dzikimi!... Może z ludożercami!

Godfrey wytężył wzrok. Nigdzie nie dostrzegł flotyli, jaką oczom Tarteletta podsunął był strach, ale w rzeczywistości nieborak pomylił się tylko co do liczby. Naprawdę bowiem łódź jakaś płynęła po Oceanie, zmierzając najwyraźniej w kierunku „Wzgórza sztandarowego“.

— Dlaczego mieliby to być ludożercy? — zwrócił się do profesora.

— Bo na wszystkich wyspach Robinzonów, wcześniej czy później ukazują się ludożercy — oświadczył profesor.

— A czy łódź ta nie może należeć do jakiego okrętu handlowego?

— Do okrętu?

— Oczywista! Naprzykład do tego parowca, który wczoraj przejeżdżał w niewielkiej odległości od wyspy.

— I pan mi o tem nie wspominał! — wykrzyknął Tartelett, rozpacznie wznosząc ręce ku niebu.

— Poco miałem panu mówić, skoro sądziłem, że okręt odjechał. Nie jest jednak wykluczonem, że łódź ta do niego należy. Chodźmy to sprawdzić!

Godfrey uzbroił się w lunetę i zajął stanowisko na skraju grupy drzew. Stąd mógł dokładnie obserwować łódź, z której niewątpliwie zauważono wczorajsze jego sygnały. Nagle luneta wypadła mu z rąk.

— Dzicy! Przebóg!... To naprawdę dzicy! — wykrzyknął.

Pod Tartelettem ugięły się kolana, a dreszcz strachu przebiegł go od stóp do głowy. Do wyspy podpływała łódź z dzikimi. Miała ona kształt łodzi, znanej na wyspach polinezyjskich, o żaglach z plecionki bambusowej. Godfrey doskonale rozróżniał jej kontury. Był to t. zw. prao, z czego należało wnioskować, że wyspa Finy leży w pobliżu archipelagu Malajskiego. Z łodzi wysiedli jednak nie Malajczycy, lecz kilku nawpół nagich Murzynów.

Groziło teraz niebezpieczeństwo, że bystremi swemi oczyma, dzicy dostrzegą rozbitków. Godfrey począł żałować, że zatknął na „Wzgórzu sztandarowem“ ową czerwoną flagę, której nie zauważono z okrętu, lecz która niewątpliwie ściągnęła na siebie uwagę dzikich. Teraz zapóźno ją usuwać.

Sytuacja była naprawdę bardzo przykra. Jeśli ci dzicy opuścili którąś z wysp sąsiednich, by zamieszkać na wyspie Finy, to uważali ją najpewniej za bezludną, jaką też była aż do chwili rozbicia się „Marzenia“. Czerwona chorągiew wskazywała obecnie na obecność ludzi. Jak uciec; jak schronić się przed dzikimi?

Jeśli dzikim wpadnie na myśl płynąć dalej wzdłuż brzegu strumienia, to z całą pewnością w ciągu kilku chwil znajdą się naprzeciwko ich domostwa. Godfrey i Tartelett co śpieszniej tedy wrócili do drzewa Wilhelma, by się na wszelki wypadek przygotować do obrony. Myślał o niej tylko Godfrey, gdyż profesor roił w tej chwili o czem innem

— Więc jednak istnieje przeznaczenie! — mruczał do siebie. — Co komu pisano, to go nie minie! Nie można zatem być Robinzonem i nie przeżyć strasznych jego losów!

Godfrey zabrał się natychmiast do roboty. Przedewszystkiem ugasił ogień, rozprószył popiół i zatarł wszelkie ślady, wskazujące na obecność ludzi. Drób był jeszcze w kurniku, więc tylko gałęźmi zasłonił wejście do drzewa, by go nie zauważono. Teraz żałował, że nie urządził też stajni dla czworonogich, które teraz musiano wypędzić na łąkę, by beczeniem w pobliżu domu nie zdradziły ich obecności. Wszystkie narzędzia i przyrządy, któremi posługiwał się na dworze przy sporządzaniu rozmaitych sprzętów, usunął do wnętrza drzewa, którego drzwi szczelnie zamknął, ulokowawszy się w niem wraz z Tartelettem. Te drzwi z kory przylegały tak doskonale, że może nie zauważą ich dzicy, o ile nie podejdą tuż do drzewa. Tak samo okna, zasłonięte w tej chwili okiennicami z kory, zlewały się zupełnie z barwą i kształtem reszty kory.

W domostwie zapanował mrok nieprzebity i cisza. Godfrey i Tartelett łowili każdy dźwięk, dolatujący z zewnątrz, a każdy szelest, każdy podmuch wietrzyka, przejmowały ich trwogą. Chwilami wydawało się im, że słyszą stąpanie pod drzewami, że ludzie jacyś obchodzą ich domostwo. Godfrey wspiął się na jedno z okien, ostrożnie uchylił okiennicę i wyjrzał w mrok.

Nie dostrzegł jednak nikogo i niczego. A jednak całkiem wyraźnie słyszy kroki. Słuch go chyba nie myli. Przyzwyczaiwszy wzrok do ciemności, Godfrey rozpoznał, że to kozy szukają schronienia pod drzewami.

Po chwili namysłu powziął plan następujący: gdyby który z dzikich odkrył mimo wszystko mieszkanie w wydrążeniu drzewa, to ciągnąc za sobą Tarteletta, nie umiejącego się wspinać, umknie



Do wyspy dopływała łódź z dzikimi.

z nim na gałęzie, a stamtąd będzie się bronić. Ostatecznie, mając broń i amunicję, powinien sobie dać radę z kilkunastu dzikimi, nie posiadającymi żadnej broni. W najlepszym wypadku mogą mieć łuki i strzały, ale niełatwo to mierzyć w gąszcz gałęzi, gdy on ze swej wyżyny będzie mógł doskonale celować w napastników. Jeśli zaś zechcą wewnętrznem wydrążeniem wspinać się ku niemu na gałęzie, to ułatwią mu tylko obronę, gdyż w wąskim otworze tem łatwiej zdoła kłaść trupem jednego po drugim.

O całym tym planie nie rzekł ani słowa do Tarteletta, który od ukazania się dzikich, był niemal bezprzytomny ze strachu. Zapowiedź, że będzie może zmuszonym uciekać na wierzchołek drzewa, jak ptak, chroniący się przed prześladowcą, nie nadawała się do uspokojenia nieszczęśnika. Jeśli ucieczka taka okaże się konieczną, to Grodfrey wciągnie go poprostu, nie pozostawiając mu czasu do zastanowienia.

Noc minęła wśród obaw i nadziei. **Dzicy nie dotarli** jeszcze do grupy drzew-olbrzymów i nie przystąpili na razie do ataku. Może czekali wschodu słońca i wtedy dopiero wtargną na wyspę.

— Najprawdopodobniej mają zamiar to uczynić — rzekł Godfrey — bo chorągiew nasza mówi im, że wyspa jest zaludniona. Ale jest ich nie więcej jak tuzin, więc się zapewne obawiają. Bo i skądżeby im przyszło do głowy, że cała ludność wyspy ogranicza się do dwóch rozbitków? **Tak! Oni napewno** czekają dnia, by się lepiej zorjentować, a może też osiądą tu spokojnie i wcale nas nie zaczepią?

— Albo też z nastaniem dnia puszczą się w dalszą podróż — dodał Tartelett, z natury skłonny do odsuwania przykrych myśli.

— Więc poco byliby tu przyjeżdżali? Aby na wyspie spędzić noc?

— Tego nie wiem! — odparł Tartelett, zbity z tropu. — Czy pan sądzi, że to ludożercy? — pytał, trzęsąc się, jak osika.

— Tego znów ja nie wiem — rzekł Godfrey. — Jeśli jednak dzicy nie przyjdą do drzewa Wilhelma, to my się stąd wyprowadzimy.

— My? Czy ja także?

— To się rozumie. Czyżby pan chciał tu sam pozostać? Mojem zdaniem, należy bodaj na parę dni ukryć się w lasach i tam przeczekać, aż dzicy, przekonawszy się, że to wyspa bezludna, znów stąd odjadą.

— Pst! — szepnął Tartelett, nadsłuchując. — Zdaje mi się, że słyszę...

— Nie! To nasze stado wraca z lasu — uspokoił go Godfrey.

— A może je kto goni, że tak pędzą?

— Przeciwnie! Idą bardzo powoli, najpewniej chcą się schronić pod drzewami przed chłodem rannym.

— Ach, Boże! Boże! — biadał Tartelett, a twarz jego miała wyraz tak komicznie żałosny, że Godfrey byłby parsknął śmiechem, gdyby sytuacja nie była istotnie bardzo groźna.

— Tak, tak — mamrotał profesor, szczękając zębami — coś podobnego nie byłoby nam się przydarzyło w pałacu Kolderup przy ulicy Montgomery.

— Wnet nastanie dzień — przerwał Godfrey te niedorzeczne biadania. — Za pół godziny, o ile dzicy wpierw nie przyjdą do drzewa Wilhelma, wyruszamy na północ, by się przekonać o obecnym stanie rzeczy. Czy potrafi pan nosić broń?

— Nosić potrafię, ale też nic więcej!

— A wystrzelić w pewnym kierunku pan nie potrafi?

— Nigdy nie próbowałem. Jestem jednak przekonany, że moja broń nie wystrzeli!

— Bo ja sądzę, że sam huk wystrzału skłoni dzikich do ucieczki!

W godzinę później było już dość jasno do czynienia obserwacyj. Godfrey powoli odsunął okiennice i wyjrzał. Po stronie południowej nie dostrzegł nic nowego. Czworonogi biegały na pastwisku, niczem nie zdradzając lęku czy niepokoju. Przebiegłszy oczyma całą przestrzeń, Godfrey znów skrupulatnie zasunął okienicę. Przez okno, wychodzące na północ, mógł sięgnąć wzrokiem aż do wybrzeża. Widział nawet „Wzgórze sztandarowe", ale ujścia strumienia, gdzie dzicy wylądowali, stąd widzieć nie mógł.

Zanim przyłożył do oczu lunetę, Godfrey rozejrzał się po najbliższem otoczeniu, lecz nie zauważył tu nic nowego. Wtedy przez lunetę zaczął badać cały pas wybrzeża, aż do wierzchołka skały, na którym zatknął był chorągiew. Wszędzie było pusto i Godfrey zaczął już przypuszczać, że może jednak miał słuszność profesor, wyrażając mniemanie, że z nastaniem dnia dzicy ruszą w dalszą podróż.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Baścyne odejście...

Mieszkali za miastem

Mała chateńka przykucnęła pod murem ogrodzenia wielkiego miejskiego parku i stała jeszcze niewiedzieć jakim cudem, bo przecież wszyscy widzieli, że się wali... Okna z chateńki, maleńkie, zaprószone okienka, zwrócone były na zwarty mur tatrzańskich wierchów, co — hań — w dali gdzieś nieznanej stały dotykając nieba. Bliżej rozsiadły się senne, zadumane coś, kapy beskidzkie pokryte granatowym płaszczem lasów. Przy okienkach tych, w górach zapatrzonych siedziała codziennie z podpartą główką, smutna Basienka...

Od dwóch lat... umierała...

Gruźlica, nielitosna gruźlica zamieszkała w młodych niegdyś bujnych i pięknych piersiach, młodego dziewczęcia, i gryzła je bez miłosierdzia, bez przerwy...

...Basienka...

Podparło to głowinę i zapatrzone w świat dumało... Z piersi wydobywał się bez przerwy suchy kaszel suchotniczy, a wraz z nim czuła straszny ból w całem ciele... Za okienkami opadały liście z drzew, wiatr niósł je po zamiejskich pustych jesienią polach... Na ugorach, na ścierniach płonęły pachnące, pastusze ogniska, dym blado-siny smętnie, ociężale wlókł się w dal...

W chorem sercu Basienki mieszkał najgłębszy smutek... Łza mgliła jej oczy, gdy patrzała na świat za okienną szybą...

W sąsiedniem podwórzu bawiły się codziennie młode panienki... Wsłuchiwała się w ich radosny, beztroski śmiech i przypominał się Basience jej niedawny jeszcze, świat... Dalekie miasto, większe, większe o dużo od tego, przy którem stała jej rodzinna chateńka, szkoła, internat, koleżanki, nauka i zabawa... i to... to... Ach! Tęskniła ostatkami sił. Ból tęsknoty, ból marzenia, o którem się wie, że się nigdy nie spełni... ściskał jej serce...

...I on!... Przemiły chłopczyk... Chodzili razem do parku, siadywali na białej ławeczce w zaciszu pod rozłożystym jaworem i marzyli o dalekiem swojem szczęściu... Ta miłość! Niewinna miłość serc dziecięcych... On jej opowiadał o swoich stronach rodzinnych, o dalekiej wiosce nad brzegami przecudnych jezior położonej, ona o górachh sinych, o swojej krainie orlich gniazd... Czasem nic nie mówili do siebie, siedzieli cicho, a drzewa im prawiły opowieści... Jeszcze trzy lata temu — pamięta!... Słońce zachodziło, złocąc kopuły miejskich kościołów a oni oboje w ciszy przedwieczornej przysięgali sobie, że się nigdy nie rozłączą, że nadejdzie czas, kiedy pozostaną przy sobie na wieki, by śnić szczęście życia...

— A dzisiaj? Basienko, dzisiaj? — pytały ją teraz oto szeleszczące pod oknem liście. A teraz? Już już po wszystkiem! Marny, ludzki los, dziewczyno, marne życie!... Naco się zdało śnić, naco marzyć?...

Basienka oderwała oczy od bawiących się dziewczynek, odeszła od okna, wyszukała papier i ołówek, usiadła za stołem i zanosząc się od bolesnego kaszlu, poczęła pisać przez łzy:

„Ty coś był mojem marzeniem!

Dzisiaj, kiedy wiatr miota zeschłemi liśćmi, gdy słońce jesienne smutno patrzy na pustkę pól zamiejskich — ty mi żegnaj drogi! Już nigdy nie ujrzysz Basi, co cię tak kochała gorąco! Nie narzekaj na los! Płacz ni przekleństwa nie wskrzeszą mnie z trumny, już nic, nic nie pomoże!... Te marzenia nasze, śnione na białej ławeczce krakowskich plant, rozbite w puch, podarte w strzępy... Któż będzie miał jeszcze kiedyś odwagę powiedzieć: „życie jest piękne!?“ Kto? Dzisiaj już nie jestem tą piękną — jak sam mówiłeś — dziewczynką!... Gdybyś mnie zobaczył... — ach, nie życzę sobie tego!...

Stachu! Czy smutno ci bardzo, gdy przechodzisz przez planty i widzisz pustą naszą ławeczkę? Pomyśl, już nigdy! Nigdy...

Dzisiaj tak smutno — chłopczyku mój! I że już ciebie nigdy nie ujrzę... i że na wierchach buki już czerwienieją, ostatni raz je widzę... Słuchaj, gdy odejdę, przyjdź kiedyś do mnie na cmentarz, w zaciszu cmentarnych kasztanów, wśród powiędłych kwiatów porozmawiamy... Przyjdź... Przyjdziesz?... Dlaczego tak płaczesz?...

Żegnaj Stasienku! Z tobą w sercu odchodzę na wieki — Baśka.“

Gdy młody chłopiec czytał ten list, gdy czytał ten straszny list, ból żalu przeszył mu serce, to serce, które już zapomniało... o Basience... dawno zapomniało...

— — — — — — — — — — — — — — —

Wiosna była...

Świat zdał się być jedną wielką radosną rozkoszą... Za okienkiem Baścynej niedoli śpiewały w księżycowe noce ukryte wśród konarów parkowych gałęzi — słowiki, pieśniarze miłości... Świat się budził, życie nanowo się rozwijało, w kwiatach drzew i krzewów... W okienku tylko już nie było Basienki...

Wśród ciszy cmentarza, między ramionami drewnianych krzyżów i bryłami kamiennych pomników, nad świeżo usypanym grobem klęczał młody chłopiec i z kimś półgłosem, szeptem rozmawiał. Łzy ciekły po jego licach, czasem się targał z jakowegoś bólu za włosy, to milczał, klęcząc spokojnie, jakby słuchał czyjejś rozmowy z ziemi...

Lecz na cmentarzu nikogo nie było, żadnej żywej duszy. Bzy tylko pachły na świeżym grobie dziewczęcego życia...

Jacek Orlik.



Pieśń Robotnica.

(Na wiersz Roberta Rydza: „Pytacie czemu?“ odpowiedź.

Cóżeś w żałości mrok osłonił lice,
przecz milknąć każesz skowronkowym pieśniom,
zapatrzon w jakieś ułudne gromnice
i w czas, odziany lat zbutwiałych pleśnią?

Nie rozpłynęły się w gwiezdnem jeziorze
i nie pomarły modły plennych wieszczeń:
życia bujnością ponad wole boże
wzrosły, triumfem pełniąc wolną przestrzeń!

Słowa się stały kryształnym granitem,
słupem żelaznym na ziemic rubieży:
pąkowie — kwiatem, noce męki — świtem
i z Duchem wieków światłością przymierzy.

Cóż ci zasępił, bracie, ból, żal czoło?
Wierzaj, w zielonym nadziei rozwidzie
nad rozdzwonione trudu tętnem sioło
pieśń nowa, wielka, święta ku nam idzie!

Rozkwitnie ona miljonów serc wiosną,
w wichrze słonecznych zwiastowań zabłyśnie,
a dusze ludzkie z niej w niebo wyrosną,
bielą odziane, jako w sadzie wiśnie.

Już nie zmartwychwstań zorze w noc rozwieści,
lecz trud uświęci, korna robotnica,
pługiem wśród ornych stai zaszeleści
i żmud opiewać będzie w chat świetlicach.

Nie żal ci przeto, ale radość górną
słowić, na młode runie patrząc, bracie,
bo oto wzrasta nad lat zgasłych urną
pieśń wolnych ludzi w słońca majestacie!

Franciszek Surówka.



Poradnik gospodarczy.

DYR. NEYMAN.

Znaczenie kwasu fosforowego w nawożeniu roli.

Wiadomem jest, że w praktycznem zastosowaniu pełne nawożenie, t. j. dostarczanie uprawnym przez nas roślinom wszystkich potrzebnych im do rozwoju związków pokarmowych, zapewnia rolnikowi nadwyżkę plonów, najczęściej opłacalną. W okresie jednak kryzysu rolniczego, który obecnie przeżywamy, siłą faktu narzuca się pytanie, czy ostatecznie nie byłoby najwłaściwszem remedjum, poprostu ograniczyć produkcję naszych gospodarstw wiejskich, a więc zaprzestać wszelkich wkładów, ograniczyć, jeżeli już nie wprost zarzucić — stosowania nawozów sztucznych, jednem słowem wrócić do ekstenzywnego systemu gospodarowania dawnych czasów.

W przeciwieństwie do tych „krzyków rozpaczy" wypowiedziały się wszystkie Związki rolnicze w tym duchu, „że nam nie wolno ograniczać produkcji rolnej przez powrót do ekstenzywnego gospodarstwa". Jest to u nas przy naturalnym rocznym przyroście ludności o pół miljona zupełnie zrozumiałem. W kwestji tej rozważał prof. Stoklasa — Praga potrzebę zachowania statyki składników biogenicznych w glebie pod nowym rozszerzonym kątem widzenia. Wedle prof. Stoklasa przez nawożenie azotem, fosforem i potasem dostarczamy nietylko roślinom potrzebnych im do normalnego rozwoju związków pokarmowych, ale i pokarmu również niezbędnego dla rozwoju mikroflory w glebie. Życie bowiem tej mikroflory zależy od wielu przejawów biochemicznych, związanych z tworzeniem się związków próchnicznych, właśnie przy obecności azotu, fosforu i potasu w formie związków przyswajalnych.

W następstwie błędów w nawożeniu następuje obniżenie zawartości składników biogenicznych przedewszystkiem w organizmie samej uprawianej przez nas rośliny, ale potem i jako uboższego pokarmu w pożywieniu zwierzęcem i w dalszym ciągu ludzkiem. Tak organizm zwierzęcy jak i ludzki może pobrać te biogeniczne pierwiastki tylko w formie związków organicznych w spożytych roślinach. Tak ustrój zwierzęcy jak i ludzki przy braku w pobieranych pokarmach pożywczych pierwiastków ulegałby stopniowo niekorzystnym zmianom patologicznym, gdy przeciwnie w obecnych ciężkich czasach ogólnego zdenerwowania rozchodzić się musi właśnie o zachowanie jaknajwiększej energji ludzkiej. Więc też Dr Stoklasa nawołuje do zachowania statyki składników biogenicznych w glebie przez odpowiednią mechaniczną uprawę roli i racjonalne nawożenie. Nie można przytem zapominać, że nie dostarczając zwierzętom domowym pokarmów pełnowartościowych, obniżamy temsamem i wartość nawozów stajennych. Mając to wszystko na uwadze, nie możemy obniżać poziomu intenzywności naszych gospodarstw.

Z drugiej zaś strony kryzys gospodarczy nie pozwala nam na dotychczasowe wkłady w gospodarstwie. Jakże więc to jedno i drugie pogodzić? W praktyce nie jest to jednak tak trudne, trzeba tylko poddać rewizji dotychczasowy system gospodarstw wiejskich.

Piszący ten artykuł wie z własnego doświadczenia, że podczas konjunktury korzystniej uprawiał zboża na gruntach, właściwie mniej nadających się do tego. Obecnie nastaje potrzeba zredukować obszar pól pod uprawę zbóż, grunta gorszej klasy przeznaczyć trzeba na łąki i pastwiska, względnie uprawę roślin pastewnych. Natomiast na gruntach pozostałych pod zboża należy stosować jaknajbardziej intenzywny system uprawy i nawożenia. Dalej w gospodarstwach, dotychczas bardzo intenzywnie prowadzonych należałoby przez analizę gleby ustalić, czy obecnie w okresie wyjątkowego kryzysu nie możnaby ograniczyć stosowania nawozów sztucznych i to jakich? Bardzo prawdopodobnem jest, że przy dotychczasowem silnem nazwożeniu może okazać się, że, jak na obecny ciężki czas możnaby się obejść, wzgl. ograniczyć nawożenie potasowe, dalej możnaby część nawozów sztucznych azotowych zastąpić nawozami zielonymi na przeoranie, tak więc pozostałaby w największej ilości wypadkach konieczność nawożenia fosforowego.

Rozpatrując w dalszym ciągu w mowie będącą kwestję, pamiętać należy, jak wielkie znaczenie ma dla zbóż i buraków cukrowych, dalej łąk i pastwisk zwłaszcza nawożenie fosforowe. Kwas fosforowy potrzebny jest tym roślinom nietylko fizjologicznie jako pokarm, ale wywiera on prócz tego i widoczny wpływ na rozwój tych roślin przez cały okres ich wegetacji. I tak zwiększa odporność roślin przeciw chorobom i szkodnikom zwierzęcym, czyni, u zbóż, słomę sztywniejszą a temsamem chroni rośliny od wylegania a oziminy w znacznej mierze i od wymarzania, wpływa dalej korzystnie na jakość ziarna, oddziaływując na wypełnienie ziarna, jako wagę i na jego skład chemiczny. Kwas fosforowy jako pokarm sprzyja bowiem wytwarzaniu się skrobi w ziarnach, a cukru w burakach. Pod wpływem nawożenia fosforowego w postaci nawozów sztucznych, zboża się lepiej zakorzeniają, szybko się rozwijają i należycie wykorzystują i inne związki pokarmowe w glebie, jak azot, potas i wapno.

W sprawie nawożenia gleby kwasem fosforowym i o tem pamiętać należy, że gleby w Polsce naogół z natury swej nie są zasobne zwłaszcza w ten składnik pokarmowy. Najzasobniejsze zawierają go tylko 0.03—0.07% a piaski, szczerki i bielice jeszcze mniej. Tymczasem w plonach rocznych z 1 ha zabierają go: pszenica i żyto po około 30 kg, owies i jęczmień po 26, a burak nawet 60 kg.

Prof. Wagner, na podstawie 40-letnich doświadczeń, powiada, że nagły i wprost w oczy bijący wzrost produkcji roślinnej w Niemczech datuje się dopiero od czasu, gdy zaczęto tam glebę zasilać więcej nawozami sztucznymi, zwłaszcza fosforowymi.

Jak wiadomo, kwasu fosforowego dostarczamy glebie na łąkach, pastwiskach, dalej glebach lekkich, torfiastych i mało zasobnych w wapno. Do tego kwas fosforowy rozkłada się w tomasynie wolniej, aniżeli w superfosfacie, więc dostarcza roślinie pokarmu przez cały okres wegetacji, nadaje się więc bardzo pod oziminy. Ale w okresie kryzysu, a więc gdy zachodzi więcej, jak dotąd, potrzeba kalkulacji w poszczególnym wypadku, ile i jaki nawóz stoso-

wać, trzeba jeszcze i o tem pamiętać, że wysokowartościowy nawóz jest zawsze tańszy.

Rzecz w gospodarstwach postępowych znana, i zawsze brana w rachubę, ale nie tak tam, gdzie jeszcze niema uświadomienia znaczenia racjonalnego nawożenia. Ma to miejsce zwłaszcza w wielu gospodarstwach włościańskich w Małopolsce, a w szczególności w odnoszeniu do tomasyny.

W długoletniej swej praktyce piszący to stwierdził rok rocznie, że włościanie tak często kupują tomasynę u podrzędnych handlarzy, coprawda tanio, ale mało wartościową. Była to poprostu mieszanina popiołu, piasku z domieszką tomasyny z ogólną wartością użytkową nawet niżej 10%, gdy tomasyna powinna zawierać 12—18% kwasu fosforowego rozpuszczalnego w kwasie cytrynowym.

Jak więc można przeciwdziałać temu?

Na zebraniach rolniczych, więcej jak dotąd, należałoby uświadomić gospodarzy: a) o znaczeniu kwasu fosforowego w nawożeniu, b) że stosować należy tylko pełnowartościowy nawóz sztuczny, c) że nawóz ten nabywać należy tylko w składnicach pewnych firm i to pod gwarancją deklarowanej wartości użytkowej, d) zakupiwszy nawóz, należy od czasu do czasu posłać do stacji doświadczalnej do analizy. Wskazanem też byłoby, by miarodajne czynniki rolnicze podjęły starania u odnośnych Syndykatów nawozów sztucznych, by na workach z nawozami znakowanie firmy, produktu, dalej gwarantowanej wartości użytkowej było przeprowadzone w sposób jeszcze więcej widoczny, — a więc bardziej wykluczający fałszerstwo — jak to dątąd miało miejsce, e) przeprowadzać jaknajwięcej poglądowych doświadczeń nawozowych polowych i łąkowych, f) zwiedzać te poletka doświadczalne, udzielając na miejscu potrzebnych wyjaśnień.

Oby słowa te, rzucone w najlepszej wierze na papier, znalazły echo we właściwem miejscu!

KRONIKA.

Obniżka płac urzędniczych. Uchwałą Rady ministrów wszelkie pobory urzędnicze zostały od dnia 1 maja b. r. obniżone o 15%. Zarządzenie to wywołało wśród urzędników wielkie rozgoryczenie i oburzenie. Wowołało nie dlatego, jakoby urzędnicy nie chcieli ratować zagrożonego skarbu państwa, ale dlatego, że dotyka ono tylko jedną warstwę społeczeństwa i to najbiedniejszą. Wszak wiadomo, że wszelkie podatki, jak i pobory urzędnicze zostały uchwalone wówczas, gdy dolar kosztował 5 zł. 18 gr. Dziś dolar kosztuje 8 zł. 90 gr. Jeżeli więc urzędnik w r. 1923 otrzymywał np. 518 zł., to w dolarach pensja jego wynosiła 100 dolarów. Dziś po spadku złotego za te same 518 zł. można dostać tylko 58 dolarów, czyli temsamem pensja tego urzędnika w przeciągu lat 8 spadła o 42 dolary, czyli o 42%. Rząd, nie biorąc tego pod uwagę, jeszcze i te, i tak znacznie zmniejszone pobory obcina obecnie o 15%. Przyjrzyjmy się jednak drugiej stronie medalu. Oto fabrykant, wielki przemysłowiec, czy posiadacz wielkich majątków ziemskich otrzymał wymiar podatku wówczas, gdy dolar kosztował 5'18 zł. Jeżeli więc podatek jego wynosił wówczas 518 złotych, to znaczy że płacił 100 dolarów. Z każdą zniżką złotego podatek ten jednak malał tak, że gdy dolar doszedł w cenie do 8 90 zł., to ten sam płatnik płaci dziś podatku zaledwie 58 dolarów, czyli że faktycznie podatek został mu zniżony z biegiem lat o 42%. Jeżeli już więc zaistniała konieczność ratowania skarbu państwa, to należało go ratować kosztem całego społeczeństwa, a nie kosztem jednej jego warstwy. Ale naszem zdaniem można było znaleźć jeszcze i inną drogę ratunku. Oto wiadomo, że po wojnie natworzono urzędów, o jakich nikt przed wojną nie słyszał, albo istniejące już powiększono do niebywałych rozmiarów. Nie było jakoś dawniej ani urzędów ziemskich, ani dyrekcji robót publicznych, ani inspektoratów pracy a jakoś się bez nich obchodziło, a nawet te sprawy, które wyżej wymienione urzędy załatwiają, bywały załatwiane szybciej i sprawniej. Na całą dawną Galicję było jedno Namiestnictwo we Lwowie i jedna Rada szkolna krajowa; dziś na tem samem terytorjum mamy dwa kuratorja i aż cztery województwa, a w każdem województwie więcej urzędników niż w dawnem namiestnictwie, a w każdem kuratorjum dwa razy tyle wizytatorów i urzędników, co w dawnej Radzie szkol. krajowej. A wiadomo, że jeżeli nauczyciel nie będzie pracował gorliwie, to ani 100 wizytatorów nic na to nie poradzi. Poznoszenie niepotrzebnych urzędów ulżyłoby więcej skarbowi państwa, aniżeli obniżanie płac urzędniczych. Czy kto słyszał przed wojną o bezrobotnych? Nie płacono bezrobotnym, więc ich i nie było. Dziś wielu jest takich, którzy, otrzymując zasiłki, nie chcą pracować. Zamiast płacić za próżniactwo czyż nie lepiej te pieniądze przeznaczyć na jakieś inwestycje, przy którychby ci bezrobotni znaleźli pracę. A ileż to jest wdów powojennych, które za otrzymane pieniądze bawią się tylko. Tu należało poszukać źródła oszczędności; komu się rzeczywiście pomoc należy, powinno się ją dać, ale nie marnotrawić grosza publicznego. Nie przeczymy, że stosunki takie wprowadziły rządy dawne przed przewrotem majowym, ale rząd obecny, który ma w Sejmie większość posłów za sobą, powinien sprawę tę zbadać i ją uregulować, a gdyby to uczynił, nie potrzebowałby się uciekać ani do obcinania pesyj urzędniczych, ani do podwyższania żadnych podatków. Gdyby było mniej wojewodów, kuratorów, wizytatorów, radców, prezesów i rozmaitych wdów powojennych, to skarb państwa na brak pieniędzyby nie cierpiał,

Zwyżka cen zboża. Przepowiadana od dawna zwyżka cen zboża nastąpiła obecnie. W Poznaniu i Warszawie 15 b. m. notowano żyto po 27 zł. We Lwowie płacono 23 zł. Również pszenica zwyżkowała: 31'50 zł. w Poznaniu i 29 50 zł. we Lwowie. Zwyżkę spowodowało kilka przyczyn: okres poświąteczny, sezon zasiewów, a głównie akcja interwencyjna, polegająca na wykupywaniu z rynków nadwyżek, któreby mogły spowodować tendencję zniżkową. Wątpliwem jest wszelako, aby rolnicy zyskali trwale na zwyżce i przedwczesne łudzenie się nie byłoby pożądane.

Tajemnicze zniknięcie pięknej żydóweczki. Kilka tygodni temu mieszkańcy Limanowej religji mojżeszowej mieli wiele do opowiadania o zaręczynach córki bogatego kupca Tancera z również bogatym kawalerem, który narzeczonej kupił za 1.000 zł. pierścionek, nie mówiąc już o innych prezentach. Gdy cała rodzina cieszyła się już nadzieją rychłego wesela, zdarzył się wypadek, który pokrzyżował wszelkie plany Tancerów. W nocy z Wielkiego piątku na sobotę przechodzący izraelita spostrzegł, że okno w domu Tancerów jest otwarte, myśląc więc, iż zakradli się tam złodzieje, pospieszył niezwłocznie dać znać o tem jego mieszkańcom. Złodzieji jednak nie było, zauważono natomiast, że znikła córka pobożnego kupca. Posłano zaraz po policję, która rozpoczęła poszukiwania za zaginioną. Przypomniano sabie, że chodziła ona po mleko do najbogatsze-

go gospodarza w parafji Walentego Jońca, którego przystojny syn Jasiek wpadł w oko młodej żydóweczce. Toteż szeptano sobie w mieście, że ci młodzi się kochają, lecz nikt nie myślał, iż przyjdzie do czegoś poważniejszego. Rodzina żydóweczki robi wszystko, by ją odnaleźć i przeszkodzić w jej ochrzczeniu, które może już nastąpiło. P. Jasiek w krytycznej chwili stał na warcie honorowej, jako strażak, w kościele limanowskim, wobec czego podejrzenia, jakie na niego padają o uprowadzenie kochanki, nie mają usprawiedliwienia. Policja jest na tropie i prawdopodobnie odszuka zgubę, która może jednak nie zechce wrócić do grona skompromitowanej przez nią wobec współwyznawców rodziny.

Pożar w Ujsołach. W Ujsołach, wsi powiatu żywieckiego, wybuchł pożar w zabudowaniach Jana Kosonia i Piotra Lacha, który zniszczył dom mieszkalny wraz z urządzeniem, wyrządzając szkodę na 4.000 zł. Dochodzenie ustaliło, że sprawcą pożaru był Jan Kosoń, który podpalił dom, chcąc się przez to zemścić na swej żonie, Annie, którą od dłuższego czasu podejrzywał o zdradę małżeńską.

Włamanie w Przemyślu. W Przemyślu dokonano zuchwałego włamania do jednej z miejscowych trafik, gdzie skradziono znaczki pocztowe i stemplowe wartości kilkunastu tysięcy złotych. Ślady za sprawcami prowadziły w kierunku Lwowa, gdzie istotnie jednego ze sprawców ujęto. Dalsze dochodzenia w toku.

12 osób pokąsanych przez psa. W Czyszczeniu koło Przemyśla pies pokąsał 12 osób, w tej liczbie 11 dzieci. W godzinę potem pies zdechł. Głowę psa odesłano do Przemyśla, gdzie weterynarz orzekł, że pies zdechł wskutek wścieklizny.

Obrabowanie kasy gminej. W Wiszence koło Janowa pod Lwowem złodzieje włamali się do kancelarji urzędu gminnego. Skradli oni tam kasetkę żelazną o wadze 24 kg., w której znajdowało się 360 złotych w gotówce, a ponadto zawierała ona różne kwity i rachunki gminne.

Tajemnicze zwłoki. Pies gajowego lasów miejskich w Janowie obok Lwowa przyniósł z lasu rękę człowieka dorosłego, która miała podruzgotane kości i brak było jednego palca. Posterunkowy policji podjął poszukiwania za ciałem, do którego ręka należała i wkrótce znaleziono w lesie w rowie zwłoki jakiegoś młodzieńca w wieku lat 20, bez głowy i obu rąk. Przy zwłokach nie znaleziono żadnych dokumentów, na podstawie których możnaby stwierdzić tożsamość osoby. Policja prowadzi energiczne śledztwo w kierunku wyjaśnienia tego prawdopodobnego morderstwa.

Włamanie do kościoła. Lwowski urząd śledczy zawiadomiono, że w nocy nieznani sprawcy włamali się do kościoła parafjalnego w Tarnowcu ad Korylówka, w powiecie łańcuckim, gdzie skradli cztery puszki pozłacane, dwie srebrne monstrancje pozłacane, trzy srebrne kielichy, dwa kielichy bronzowe, puszkę srebrną oraz relikwiarz w kształcie monstrancji. Wymienione przybory liturgiczne przedstawiały wartość 3.170 zł.

Mord polityczny pod Bóbrką. W Podmanasterzu koło Bóbrki naczelnikiem gminy był Iwan Krawec, Rusin, liczący 53 lat, zamożny gospodarz. Urząd swój sprawował on należycie, był energiczny, a równocześnie wśród swoich mieszkańców propagował zgodne współżycie ludności ruskiej z polską. Agitatorzy ukraińscy nie mogli przeboleć, że Krawec nie popiera „Łuhu“, ani „Proświty“, więc często odgrażali mu się, a nawet niedawno temu posłali Krawecowi list z pogróżkami. W nocy (z poniedziałku na wtorek Krawec powracał do swego domu i w drodze został zamordowany. Otrzymał on dwa strzały karabinowe w plecy i na miejscu zakończył życie. Jeszcze w ciągu nocy zawiadomiono o tym fakcie posterunek policyjny w Starem Siole i komendę powiatową w Bóbrce. W toku dochodzeń, prowadzonych pod kierunkiem komendanta powiatowego, zostali aresztowani trzej osobnicy, jako podejrzani o zastrzelenie Krawca. Są to: Andrzej Ćwiek, Józef Szewczuk i Jan Onyszków. Dalsze dochodzenia są w toku.

Odbudowa zamku tarnopolskiego. W Tarnopolu odbyło się poświęcenie nowo odbudowanego zamku tarnopolskiego. Prace prowadzono przez 4 lata z inicjatywy dowódcy 54 pułku piechoty pułk. Piekarskiego, dzięki pomocy materjalnej rządu. W uroczystości poświęcenia wzięli udział reprezentanci władz, wojskowości, duchowieństwa, miasta i sfer naukowych. Aktu poświęcenia dokonał ks. kanonik Ratuszny.

Niezwykłe zajście w dzień ślubu. Niezwykły wypadek miał miejsce w Alszkowicach, pow. Przemyślany, który ze względu na tragiczny splot wypadków wywołał ogromne wrażenie w całej okolicy. W Alszkowicach mieszkał bogaty i znany bogacz F. N. ze swoją rodziną. Pan N. miał jedyną córkę, Bronię, która zaliczała się do najładniejszych dziewcząt miasteczka. Ostatnio zapoznała się ona z p. F., synem starej wdowy, która niespełna rok mieszkała w Alszkowicach. Młodzi zapłonęli ku sobie gwałtowną miłością i postanowili się pobrać. Rodzice Broni ani słyszeć nie chcieli o małżeństwie swej posażnej córki z ubogim studentem. Ale kiedy córka zagroziła im, że się otruje, stroskani rodzice, chcąc nie chcąc, zgodzili się na jej małżeństwo. Wówczas jednak matka młodzieńca powiedziała, że jak dłu go ona żyje, syn jej nie poślubi Broni. Panna ze zmartwienia zachorowała, a konsyljum lekarskie orzekło, że trzeba jak najprędzej pobrać młodych, ponieważ inaczej życiu panny zagraża niebezpieczeństwo. Stroskani rodzice udali się wówczas sami do matki młodzieńca, by otrzymać jej zgodę, ale ta stanowczo nie chciała się zgodzić na małżeństwo syna. Wobec tego rada familijna p. N. postanowiła urządzić młodym wesele bez zgody matki młodzieńca i zawiadomić ją już po fakcie. — Wesele zostało naznaczone na ubiegłą niedzielę. Gdy goście byli już zgromadzeni, nagle matka młodzieńca wpadła do domu p. N. z krzykiem: „Co robicie, nie pozwólcie na ich związek, wszak oni są rodzeństwem“ a podszedłszy następnie do matki panny, powiedziała: „Pani mnie nie poznaje? Wszak przed 22 laty przed zamążpójściem dałaś mi na wychowanie swego nieślubnego syna, który jest obecnie narzeczonym pani córki“. Żona p. N. zemdlała, goście weselni struchleli. Pan N. chciał natychmiast rozwieść się ze swoją żoną, jednak Bronia, dowiedziawszy się, że jej niedoszły mąż jest jej bratem, pogodziła rodziców, którzy również przygarnęli panią F. do swej rodziny.

Eksplozja zbiornika z płynnym cynkiem. W oddziele cynkowym huty „Laura“ w Siemianowicach nastąpiła silna eksplozja zbiornika, napełnionego płynnym cynkiem o temperaturze 400 stopni. Siłą eksplozji pracujących przy zbiorniku 6 robotników wrzuconych zostało do basenu z kwasem solnym. Wszystkie ofiary wybuchu odwieziono natychmiast do szpitala hutniczego, gdzie wkrótce jeden z nich Ryszard Bonzel zmarł, zaś ciężko poparzeni Franciszek Warwas i Franciszek Kowol walczą ze śmiercią. Przyczyna wypadku dotychczas nieustalona. Na miejsce wypadku zjechała komisja sądowo-lekarska.

Straszne skutki lekkomyślnej zabawy. W Pabjanicach koło Łodzi kilku chłopców, bawiąc się na podwórku jednego z domów przy ulicy Lesznej, prowadziło rozmowę o wisielcach i wieszaniu. Po dłuższej dyskusji chłopcy doszli do wniosku, że nie można uwolnić

się z pętli narzuconej na szyję. 17-letni chłopiec W. Wacel usiłował udowodnić, że jest to rzeczą możliwą, jednak nie przekonał kolegów. Chłopiec do tego stopnia przejął się tą sprawą, że wieczorem, korzystając z nieobecności domowników, wbił hak w ścianę i powiesił się na sznurze. Kiedy rodzice wrócili do domu, zastali już zimne zwłoki chłopca, który, jak wykazały ślady, chciał się koniecznie uwolnić w pętli.

Młodociany desperat. W Łodzi zdarzył się niezwykły wypadek zamachu samobójczego, popełnionego przez 10 letniego Henryka Samińskiego, który wyskoczył z okna III piętra na podwórze. Cudem jednak uniknął śmierci, spadając na rozmokły wskutek kilkudniowych deszczów grunt. Lekarz, po udzieleniu młodemu desperatowi pomocy, pozostawił go na opiece domowników.

Miljonowy spadek po bandycie. Konsulat amerykański w Warszawie odmówił wizy na wjazd do Stanów Zjednoczonych mieszkańcowi Lidy Janowi Rzucie, który zamierzał udać się do Chicago, w celu podjęcia spadku po bracie Józefie. Powodem odmowy było stwierdzenie, że Józef Rzuta, pochodzący rzeczywiście z Polski, który pozostawił miljonowy majątek, był jednym z najsłynniejszych bandytów i wybitnym członkiem bandy Al Capone. Przed rokiem opuścił jednak bandę Al Capone'a i zaczął działać na własną rękę, lecz niezadługo potem został przez agentów swego byłego szefa zamordowany. Konsulat amerykański zawiadomił Jana Rzutę, że majątek po bracie odebrać może w drodze postępowania spadkowego za pośrednictwem władz amerykańskich bez wyjazdu do Ameryki.

Podpalaczki. W Stołpcach w mieszkaniu Juńczurowej wybuchł pożar, który objął cały dom. Jeden z przechodniów, widząc płomienie, pospieszył na ratunek. Znalazł on nawpół uduszoną kobietę, która po odzyskaniu przytomności zeznała, że wieczorem tego dnia wywołały ją podstępnie na dwór dwie sąsiadki, skrępowały jej ręce i nogi, zakneblowały usta, wrzuciły do mieszkania, a potem drzwi zamknęły na klucz i podpaliły mieszkanie. Sprawczynie zbrodni aresztowano.

Bociany giną z zimna. Na drodze między Żyrowicami a Słonimem znaleziono 10 nieżywych bocianów. Po kilka sztuk znaleziono również koło wsi Dobra Góra, Haniewice i innych. Ptaki cierpią nietylko wskutek zimna, lecz również z powodu głodu, gdyż w zamarzniętych jeszcze na wschodzie moczarach nie znajdują pożywienia.

Trucicielka. W Brześciu nad Bugiem niejaki Drozdowski po spożyciu obiadu odczuł silny ból i kurcze żołądka. Zawezwany lekarz stwierdził otrucie. Ponieważ Drozdowski kategorycznie twierdzi, że truciznę mogła mu podać tylko jego żona Marja, aż do wyjaśnienia sprawy zatrzymano ją w areszcie.

Katastrofa samochodowa. W pobliżu wsi Praczki, gminy Kozłowskiej, mknące z nadmierną szybkością auto właściciela majątku Dziekanówka Władysława Olechnowicza uległo katastrofie wskutek zepsucia się kierownicy. Samochód wpadł z całym rozpędem do rowu, przewracając się do góry kołami. W samochodzie znajdowali się: prowadzący auto Józef Olechnowicz, Wacława Kolszanka i Mirosława Grzybowska. Wszyscy troje ulegli bardzo ciężkim obrażeniom. Ofiary katastrofy przewieziono do pobliskiego majątku, gdzie udzielono im pomocy lekarskiej. Stan wszystkich trzech osób jest groźny.

Pożar historycznego zamku. W ubiegłym tygodniu spłonął na Placu Paryskim w Berlinie historyczny pałac ks. Blüchera, który nabyty został ostatnio przez rząd amerykański. Doszczętnie zniszczone zostały apartamenty reprezentacyjne ks. Henckel von Donnersmarck, w których przechowywane były cenne zbiory artystyczne. Pastwą płomieni padło również całe urządzenie biurowe amerykańskiego przedstawicielstwa handlowego. Przybyłe na miejsce oddziały straży ogniowej zdołały tylko pożar zlokalizować. Straty wyrządzone przez po żar szacowane są na kilka miljonów. Przyczyny pożaru dotychczas nie ustalono.

Płonący złodziej na rowerze. Niesłychanie śmiałą kradzież popełniono w jednej miejscowości pod Paryżem. Oto wieczór jakiś rabuś cisnął bombę do okna wystawowego magazynu jubilerskiego. Bomba wybuchła z hukiem, a złoczyńca wśród dymu i płomieni począł plądrować wystawę. Obłowiwszy się dostatecznie, pędem pobiegł tuż na następną ulicę, gdzie czekał na niego wspólnik jego, trzymając w pogotowiu rower.



Dosiadłszy corychlej roweru, zaczął uciekać. Ubranie jego jednak poczęło płonąć, lecz rzezimieszek, jakby nie zważając na ból, pędził, co mu sił starczyło i mimo niesłychanych boleści, które niewątpliwie musiał znosić podczas tej piekielnej jazdy, zdołał umknąć. Obrazek nasz przedstawia tę żywą pochodnię na rowerze.

Abdykacja króla hiszpańskiego. Jak wiadomo w Hiszpanji od dawna wre i kipi. Ścierają się tam dwa prądy: jeden, który na czele państwa chciał widzieć króla tak, jak to było dotychczas, a drugi dążył do tego, aby Hiszpanja stała się rzecząpospolitą taką, jaką jest dziś większość państw europejskich. Już niejednokrotnie zanosiło się tam na rewolucję, ale monarchiści zawsze jakoś zdołali się utrzymać przy swojem. Ale obecnie wzięli górę republikanie. W ubiegłą niedzielę odbyły się w całej Hiszpanji wybory do tamtejszego parlamentu, w czasie których monarchiści ponieśli olbrzymią klęskę; przeważającą większość mandatów zdobyli republikanie. Na wiadomość o tem król Alfons XIII, nie chcąc doczekać się losu króla francuskiego Ludwika XVI, lub cara Mikołaja II, złożył koronę i wyjechał wraz z całą rodziną zagranicę. Na czele nowego rządu stanął przewódca republikanów Zamorra.

Straszna egzekucja w Hiszpanji. Dramatyczna scena rozegrała się w tych dniach w Madrycie. Matki trzech synów, skazanych na śmierć, przybyły z Saragossy, aby błagać sąd o darowanie skazańcom życia. Była również obecna żona jednego ze skazańców z pięciomiesięcznem dzieckiem na ręce. Kobiet tych niedopuszczono do sądu. Sąd i rząd postanowili, aby nie przedstawiać skazanych królowi do łaski i w ten sposób całą sprawę rozstrzygnięto. Czekającym w przedpokoju, zalewającym się łzami trzem matkom poradzono, aby zdały się na łaskę i miłosierdzie Boga i nie oczekiwały żadnej litości od ludzi. W 24 godzin potem odczytano skazanym w więzieniu w Saragossie wyrok śmierci. Około wieczora zaprowadzono trzech skazańców do „kaplicy śmierci". Jest w Hiszpanji zwyczaj, że skazańcy, mający zginąć z ręki kata, muszą spędzić 12

do 20 godzin w celi zamienionej na kaplicę. Okropne zarządzenie, chociaż ma nawet nabożny charakter. Skazańcom skrępowano nogi. Ręce mieli wolne. Odwiedziło ich wielu ludzi. Pozwolono nawet matkom skazańców pożegnać się z synami. Po okropnej nocy wyprowadzono o godz. 7'15 pierwszeoo skazańca na dziedziniec, na której stało narzędzie egzekucji. Egzekucji dokonano przy pomocy żelaznej obręczy, zakładanej na szyję. Przytroczony do słupa skazaniec ginie wskutek uduszenia przy pomocy powolnie zaciskającej się dokoła jego szyji żelaznej obręczy, wprawianej w ruch dźwignią. Śmierć następuje szybko. Zwłoki straconych zaniesiono następnie do kościoła i odprawiono za nich nabożeństwo.

Agrafki w żołądku. Fachowe lekarskie pismo amerykańskie opisuje następujący fakt: Do jednego ze szpitali nowojorskich została przywieziona jakaś 35 letnia kobieta, chora na ślepą kiszkę. Ponieważ lekarze mieli pewne wątpliwości co do pochodzenia bolów, poddano chorą prześwietleniu, przyczem okazało się, że w żołądku jej znajduje się pokaźna ilość agrafek, z których dwie przebiły oponę. Przeprowadzono operację, w wyniku której wydobyto z żołądka chorej 295 gramów agrafek. Chora wyznała, że kiedyś przed 13 laty, połykała w ciągu 4 do 5 miesięcy agrafki z rozpaczy, Od 10 lat jest zamężną i odbyła 4 normalne porody. nie odczuwając najmniejszej dolegliwości.

RZECZY CIEKAWE.

Bolszewickie małżeństwa.

Waśka Bazow ożenił się w tych dniach. Małżonka jego „liczy“ 5 pudów żywej wagi (80 kg.), ma buzię jak księżyc w pełni i wogóle wszystko w wielkim stylu, gdyż wszystko to jest wielkie: głowa, ręce, nogi, stopy etc.

Waśka był już przez trzy lata wdowcem. Gdzie się nie zwrócił, każda, spojrzawszy nam, gryzła nadal filozoficznie „siemieczki“ i odwracała głowę, mrucząc pod nosem: wot tak swołocz.

Waśka spieszył się z ożenkiem. Gospodarstwo wymagało ręki kobiecej.

Wdział więc nowe spodnie niebieskie z barchanu, wsiadł na wóz i pojechał szukać wybranej.

W miasteczku łaził od jednego do drugiego znajomego.

— Niech będzie nawet ślepa na jedno oko, byle jak najprędzej, bo krowy ryczą w oborze, nikogo niema, ktoby się niemi zajął.

— Towarzyszu — mówili mu znajomi — teraz żniwa, któżby się interesował małżeństwem.

Ale oto Waśka zobaczył na progu jednego z domków na przedmieściu kobietę solidną (dzisiejsza jego małżonka).

— Awdotja Fiodorowna — zagadnął nieznajomą.

— Nie Awdotja i nie Fiodorówna, — odparła jejmość, lecz Sofja Iwanowna Opuchina.

— A wy, Sofja Iwanowna, mężatka, cztoli? — zapytał Waśka.

— Nikaks niet — całkiem jeszcze panna.

— Tak wyby za mnie zamuż i paszli...

Sofja Iwanowna uśmiechnęła się wdzięcznie i odparła: Pagawarit możno.

Można pomówić, czemu nie. Rozmowa zakończyła się przy trzeciej butelce „mocnej“.

Udając się w drogę do urzędu małżeńskiego, Waśka jakby sobie coś nagle przypomniał. — A ile wam lat będzie, Sofja Iwanowna.

— Lat ja sobie ot nie liczyła, ale coś się zdaje, że urodziłam się w 1886 roku.

— Naplewat — rzekł Waśka z determinacją i wszedł z narzeczoną do urzędu.

Pod wieczór Sofja Iwanowna z małżonkiem jechała już na wozie w stronę wsi. Po drodze wypadła górka.

— Złaź, Sofja Iwanowna — rzekł Waśka mocno jeszcze podchmielony — i pomóż szkapie na górce.

Sofja Iwanowna zlazła z wozu i podeszła do konia.

Waśka patrzył na nią z uwagą. Nagle począł jednak trzeźwieć.

— Ty, Sofja Iwanowna, wydajesz mi się niedobrze z nogami. Kulawa jesteś?

— Eh, co też mówisz Iwan Pietrowicz. Ja tak z kokieterji.

— Z kokieterji kulejesz? — pyta Waśka.

— Głupstwo — odpowiada Sofja Iwanowna. — Ja tak, po prawdzie, nogę mam krótszą, lewą, ale tylko o pół centymetra. Miełocz (drobiazg).

— Nie miełocz to, Sofja Iwanowna, a całkiem źle. Jakże ty mi będziesz snopy wiązać, za krowami chodzić?

— Ja i podskakujący mogę — odpowiada napwół z płaczem małżonka.

Ale Waśka oprzytomniał już całkiem. Schwycił za lejce, zawrócił wóz z powrotem do miasteczka do urzędu małżeńskiego i konie popędził.

Sofja Iwanowna patrzyła ze zdumieniem na męża. Gdy wóz dojechał do rogatki, Waśka zrzucił rzeczy małżonki na drogę, kazał jej zsiąść i wracać do domu, sam zaś pojechał do urzędu małżeńskiego po rozwód.

Sofja Iwanowna zebrała rzeczy i splunąwszy, udała się do domu.

Wędrujące oczy.

Podczas gdy zachodzące parami organa u istot żyjących jak np. oczy, ręce, nogi, równomiernie rodzielone są na prawą i lewą część ciała, mają, jak wiadomo, ryby płaszczaki, jak flondry i płastugi oba oczy po jednej stronie głowy. Stało się to dlatego koniecznem, ponieważ tylko jedna strona głowy skierowana jest ku wodzie, gdy druga przeważnie spoczywa na piasku. Co najciekawsze, ryby te w młodości mają oczy po obu stronach głowy, a dopiero w czasie rozwoju jedno oko wędruje na drugą stronę. U niektórych z nich płetwa grzbietowa w tym celu rozwija się dopiero późno, tak, iż oko wędrować może po zewnętrznym brzegu głowy. U innych gatunków ryb płaskich płetwa grzbietowa już od samego początku jest tak silnie rozwinięta, że oko tą drogą nie może wędrować. W tych wypadkach przenika oko prawe, chcąc dostać się na lewą stronę głowy, przez miękkie jeszcze tkanki głowy.

Drzewa olbrzymy.

Największe drzewa spotyka się w Tasmanji i w Australji. Rosnący tam np. rodzaj eukaliptusu dochodzi 250 stóp wysokości i 14 stóp obwodu. By dojść do tych rozmiarów, drzewo potrzebuje 400 lat. Rodzaj świerka na brzegach Oceanu Spokojnego dosięga wysokości 350 stóp, a w statystyce Stanów Zjednoczonych wspomniane jest drzewo 350 stóp wysokie. Najwyższem drzewem na świecie jest olbrzymi dąb w Bull Creek Flat, w Kalifornji, wysoki na 263 stóp.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Jacek Orlik** w S.: „Serce mężczyzny“ daliśmy do druku. Nieco zadługie, więc będziemy musieli podzielić na dwa numery. — **Franciszek J. Tryszczyła** w K.: „W rocznicę majową“ zamieścimy w następnym numerze. Co do drugiej pracy, to się nieco wahamy, gdyż łatwo wprowadzić jakiś dział w gazetce, ale znacznie trudniej go utrzymać. W każdym razie cieszymy się, że się znów Pan odezwał, gdyż dłuższy czas nic nie otrzymywaliśmy. — **„Celne Oko z Żywca“**: Wierszyk „Kierpce“ jest napisany przez tego samego autora, któremu jest poświęcony. Nie umieścimy. — **Wojciech Lorenc** w Ł.: Zagadki przeznaczamy do druku. — **Józef Górecki** w K.: Odpowiadając, mieliśmy na myśli i dawne zagadki. Kto jest prenumeratorem, a kto nie, wie o tem tylko Administracja; Redakcję nic to nie obchodzi. Początkowe numera można nabyć w Administracji w cenie po 30 groszy za numer. — **L. A.**: Wierszyk słaby. „Słoneczniki a cło“ zamieścimy. — **Antoni Kurek** w B.: „Miłość kaleki“ za rozwlekłe. Kradzieży, choćby to były tylko kwiaty, nawet przeogromną miłością usprawiedliwić nie można. Czytając Pańską nowelkę, czuje się z początku wielką sympatję dla owego kaleki, ale po dokonaniu przez niego kradzieży sympatja owa przemienia się w odrazę. Nie zamieścimy. — **Jan Pelczar** w W. S.: Artykulik o Teresie Neumannównie zamieścimy w jednym z najbliższych numerów. — **Melka** w Z.: Myli się Kochana Pani, jakobyśmy ją z rozmysłem zbywali milczeniem; albośmy nie otrzymali listu, albo były w nim tylko dwa wierszyki, które zaraz daliśmy do druku. Jak to było, dziś już nie pamiętamy. Jakkolwiek redaktor „Roli“ jest bardzo uprzejmy dla wszystkich czytelników „Roli“, to przecież szczególną sympatją otacza Czytelniczki, a zwłaszcza te, które czas swój i talent dla „Roli“ poświęcają. A do tych właśnie Pani należy. Z obecnie nadesłanych prac „Subtelność“ dla „Roli“ się nie nadaje; jest tam wiele wyrażeń zbyt górnolotnych, którychby część czytelników nie zrozumiała. To jedno, a drugie: treść zbyt banalna. Wierszyki w miarę miejsca zamieścimy. — **Jan Kazik** w L.: Najfatalniejszem posunięciem obecnego rządu była właśnie obniżka płac urzędniczych. Stracą na niej nietylko urzędnicy, ale stracą i inne warstwy społeczeństwa, wprawdzie nie w jednakowej mierze, ale stracą. Straci kupiec, straci przemysłowiec, straci rolnik, bo braknie tych pieniędzy w codziennym obrocie, ale straci i państwo, bo gdy zmaleje obrót pieniądza, to zmaleją podatki tak pośrednie, jak i bezpośrednie. A zmaleć muszą, bo gdy urzędnikowi będzie brakować na chleb, zaprzestanie palić, zaprzestanie kupować gazety, czy książki, będzie łatał ubranie, bo na kupno nowego nie będzie go stać. Odebranie jednej warstwie społeczeństwa jej dochodów odbić się musi na innych, choć nierównomiernie. A iluż to urzędników mniej sumiennych z nędzy może być skłonnych do rozmaitych nadużyć. Jedna niesprawiedliwość wywołuje inne. Wprawdzie już dziś ze strony osób zbliżonych do rządu tłomaczą, że wniosek o obcięcie płac urzędniczych postawił poseł chłopski p. Wyrzykowski, ale rząd przecież pójść za tym wnioskiem nie musiał, a jeżeli już był zmuszony do oszczędności, to mógł uskutecznić ją na tych, którzy więcej posiadają, a nie na biedakach, jakimi w Polsce byli i są urzędnicy, w swej ogromnej większości. — **Szczepan Orzech** w K.: Żartobliwą legendę o „Spóźnionej wiośnie“ daliśmy natychmiast po otrzymaniu do druku. — **Waldemar Mileński** w P.: W wierszykach myśl ładna, ale opracowanie słabe. Nie można pisać, że Polska „jest zmartwychwstana“, gdyż język polski strony biernej nie lubi. „Zemsta“ jest tak krwiożercza, że aże strach! Najlepiej będzie dla niej w koszu, może ostygnie. Adres Marszałka Piłsudskiego: Warszawa — Belweder. Narazie o wyjeździe nic nie słychać. — **Stanisław J. Rabjan** w S. i **Żurek Kazimierz** w M.: Utwory Panów otrzymaliśmy bezpośrednio przed zamknięciem numeru, odpowiemy więc w następnym numerze. — **Józef Burda** w Ł.: W miarę miejsca zamieścimy. — **Franciszek Surówka** w W.: „Łazarze“ otrzymaliśmy. — **Marja Krężołek** w B.: Adres chcącego kupić: p. Giza Antoni, Wólka Niedźwiedzka, poczta Sokołów koło Rzeszowa. — **Jan Rzepka** z C.: Świń nie chowamy i tego nie kupowaliśmy, ale osoba, która „Provendeine“ zna, jeszcze z przed wojny mówiła, że domieszane do karmy, świnie żarłocznie jedzą, a skutek oczywisty, bo świnia więcej zje i dużo prędzej się upasie.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy jeszcze w zapasie.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Ciało żyjące.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Znana osoba.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Garncarstwo wsp.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Imię męskie.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Imię żeńskie.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Król polski wsp.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Imię męskie.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Młode zwierzę zdrob.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Dobrobyt kraju.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Zbiornik wody zdrob.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Miasto tureckie inacz.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Imię męskie.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Król polski wsp.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Imię męskie zdr.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Miasto w Małop.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Filozof grecki.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Imię męskie.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Rzeka w Amer.

Litery końcowe czytane z góry na dół dadzą osobę z Trylogji.

2. Zagadki.

(Ułożył Górnik).

I.

Ptak i zwierzę w jednym rzędzie,
A z nich nazwa kija będzie.

II.

Wprost niemiła ludziom siła,
Wstecz czytana miara znana.

3. Szarady.

(Ułożył Kazimierz Tokarski z J.).

I.

O jakże się znów cieszę,
Że z szaradami do Redakcji spieszę,
Pierwsze z trzeciem co powie,
Gdy każdy pomyśli, to się dowie:
Nauczycielka ze stanu duchownego,
Zaś połowa wzięta z drugiego,
Z trzeciem gdy złączymy,
O zawodzie tej osoby się dowiemy.
W teatrze jest wszędzie!
Pytam, kto to taki będzie?
Całość co znaczy to się przedstawi
Jego pracy niech Bóg błogosławi,
Trzy zawody w tej szaradzie są wymienione
Wszystkie niech będą od Czytelnika „Roli“ pozdrowione.

II.

(Ułożył Górnik).

Pierwsze i pół drugiej znany nam mistrz słowa,
Łączy zdania, słowa zaś drugiej połowa,
Trzecia dobrze znaną rybę nam nazywa,
Całość imię męskie, rzadko u nas bywa.

4. Układanki szaradowe.

(Ułożył Władysław Wicherek z B.).

Termin spirytystyczny + strzelba = operacja przelewania krwi.

Termin spirytystyczny + czynność = układ, umowa.

Termin spirytystyczny + pora roku + spółgłoska = tłumacz prawny.

Termin spirytystyczny + posłannictwo = przesłanie, pędnia.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 1-go maja b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 15 „Roli“: Romuald Traugutt. 2. Szarada: Kochana „Rola“. 3. Mały logogryf: Howerla. 4. Łamigłówka: Marzec.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Władysław Gąsienica z Z., Antoni Kozik z K., Józef Półtorak z K., Stefanja Trybulcówna z D., Leopold Wołek z Rz., Jan Piegza z W., Krystyna Górecka z K., Józef Górecki z K., Józef Burda z Ł.

Nagrody wylosowali pp.: Stefanja Trybulcówna z D. i Antoni Kozik z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Miara.

Mały Władzio wygląda oknem.

— Mamusiu! — woła po chwili — widziałem masę maszerujących żołnierzy.

— Iluż ich mogło być — pyta matka.

— O, dużo, najmniej ze dwa pełne pudełka.



Odciął się.

— Czy zauważył pan, ilu durniów jest na świecie?

— Naturalnie! — i to jeszcze panu powiem, że jest o jednego więcej, niż pan przypuszcza.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 17 kwietnia b. r.

Pszenica	32·00—32·50	Słoma długa	5·50—6·50
Żyto .	26·00—26·50	Ziemniaki stoł.	8·00—9·00
Owies . .	30·00—31·00	Koniczyna nasienn. czer.	290·00—320·00
Jęczmień .	27·00—28·00	Mąka żytnia	42·50—43·00
Fasola biała	38·00—42·00	Mąka pszen.	57·00—58·00
Groch zwyk.	00·00—00·00	Otręby pszen.	23·00—20·50
Siano słodk.	24·00—25·00	Otręby żytnie	23·00—23·50
Łubin żółty	37·00—38·00	Mąka czerw.	24·00—25·00
Koniczpastew.	19·00—21·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 17 kwietnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·10 do 1·23 zł.	Jałownik	od 1·15 do 1·25 zł.
Woły . .	od 1·20 do 1·23 zł.	Cielęta .	od 1·20 do 1·38 zł.
Krowy .	od 1·00 do 1·10 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·35 do 1·43 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·75 do 1.90

Znów nowe książki

sprzedaje i wysyła

Księgarnia „Wiedza i Sztuka"

KRAKÓW, ul. Gołębia 10/R.

Wysyłka tylko po otrzymaniu pieniędzy z góry. Przy kupnie do 5 zł. załączyć także na koszta wysyłki 60 gr., przy kupnie ponad 5 zł na koszta wysyłki załączyć 1 zł 30 gr. gotówką lub w znaczkach pocztowych.

1) **SZÓSTA I SIÓDMA KSIĘGA MOJŻESZA,** czyli magiczno-sympatyczny skarbiec, jest to magiczna czarodziejska tajemnica — w oprawie 10 zł.

2) **ÓSMA I DZIEWIĄTA KSIĘGA MOJŻESZA,** czyli ważne zwierzenia egipskie, księga odwiecznej magji wraz z magicznem cudotwórstwem duchów — w oprawie 10 zł.

SEWERYN HARTMAN: Sekretarz Urzędowy, wzory podań, zażaleń i odwołań do władz i urzędów. Zł. 4.

BARAŃSKI FR.: Rozrywki i Gry umysłowe z ilustracjami — zł. 4.

BARAŃSKI FR.: Sztuczki i Figle z kartami — zł. 4.

W. W.: Grzechy Młodości. Jak uchronić siebie od przedwczesnego wycieńczenia i upadku sił — cena zł. 1.80.

BIBLJOTEKA WIEDZY OGÓLNEJ.

ATKINSON W. W.: Kształcenie pamięci. Nauka o obserwacji pamięci i wywoływania wspomnień, cena zł. 2.50.

DR. J. D.: Potęga Suggestji. Wykład o mocy i woli ludzkiej — cena zł. 3.

Dr. Böttchner L.: Stoliki Wirujące. Praktyczne wskazówki prowadzenia seansów czyli posiedzeń spirystycznych z stolikiem wirującym — cena 3 zł.

DR. J. D.: Potęga Hypnotyzmu. Praktyczny przewodnik do wykonywania doświadczeń w dziedzinie suggestji i hypnotyzmu oraz zastosowanie ich w życiu codziennym — cena 3 zł.

WIEDERMANN B.: Yoga. Tajemna Wiedza Indji — zł. 3.

DR. R. E. KIRCHNER: Mój System. Podręcznik zawierający wskazówki do uzyskania sił ciała i świeżości ducha, wraz z dodatkiem o pełnem używaniu życia i 32 rycin przedstawiającemi ciało mężczyzny i kobiety. Przełożył Dr. Piotr Kozielski — cena 3 zł.

WIELKI ARABSKO-EGIPSKI SENNIK, z wieloma ilustracjami, według dawnych źródeł wiedzy tajemnej, z uwzględnieniem najnowszych odkryć w tej dziedzinie, wyd. Mirandola, cena 6 zł.

SZTUKA WRÓŻENIA, ogólne zrozumiałe wyszczególnienie sztuki wróżenia z ręki, z twarzy, z miesiąca urodzenia, z kart i z fusów, z dodatkiem kabalistyczno-astronomicznej loterji, cena 1 zł. 50 gr.

PROSALUS DR.: Życie Płciowe. Przewodnik dla Małżonków, cena zł. 2.—.

ROŚCISZEWSKI: Tajemnicze Siły w Miłości. Poradnik dla Pań i Panów, zł. 1.80.

ALBERTUS MAGNUS, egipskie tajemnice dla ludzi i bydła 10 zł.

DR MUELLER: Najnowszy lekarz domowy z ilustr. 80 gr.

MAJEWSKI: Tresura psa pokojowego — 3 zł. 60 gr.

JAK WINSZOWAĆ? — wielki zbiór powinszowań imieninowych, noworocznych i okolicznościowych — 3 zł.

NAJNOWSZY FLIRT SALONOWY czyli tajemna rozmowa kwiatów z 44 kartami — 50 gr.

NAJNOWSZA WIELKA KUCHNIA WARSZAWSKA, zawiera 1200 przepisów różnych potraw, przez Owoczyńską — cena 3 zł.

KUCHNIA DOMOWA, praktyczna książka kucharska mała — cena 60 groszy.

STO PIĘĆDZIESIĄT POWINSZOWAŃ dla dziatwy szkolnej — 40 gr.

TANGEY KUNT PROF. DR.: Zboczenia płciowe — 80 gr.

MICIŃSKI: Nerwowość, histerja, neurastenja i hypochondrja — zł. 1.50.

DR KARMA: Jasnowidzenie, wykład w obudzeniu drzemiących sił duszy ludzkiej, z licznemi doświadczeniami — 2 zł.

DR. CZ. PENDO: „Poradnik dla młodych mężatek. Małżeństwo, ciąża, płodność, poród. Sekretne sposoby małżeńskie, pielęgnowanie niemowląt". Zł. 1.60.

DR. KAZIM. RADWAN-PRAGŁOWSKI. Spotęgowanie Woli. 4 tomiki Zł. 1.20.

SZYLLER-SZKOLNIK: „Mnemonika". Sztuka wyrobienia doskonałej pamięci. Usuwanie roztargnienia, wzmacnianie zdolności umysłowych. Zł. 2.—.

DR. MISIEWICZ: „Samogwałt u mężczyzn i kobiet". Jego skutki i środki wyleczenia. Zł. 2.—.

KRUMŁOWSKIEGO: Sto tysięcy żartów, dowcipów i monologów — 50 gr.

DR. MED. E. JOZAN: „Życie płciowe kobiety". Znaczenie stosunków płciowych. Ciąża. Rozwój płodu. Poród. Cenne rady i wskazówki. Zł. 1.50.

DR. QUEYRAT: „Miłość i małżeństwo". Uwodziciele. Shańbione dziewczęta. Handel żywym towarem. Związki nieślubne. Dzieci z nieprawego łoża. Sutenerstwo. Prostytucja. Policja obyczajowa. Zł. 1.50.

DR A. KORAB KORABIEWICZ: „Choroby weneryczne". Uleczalność syfilisu i innych chorób. Zł. 1.—.

SZYLLER-SZKOLNIK: „Zwycięstwo w miłości"! — Jak zdobyć miłość ukochanej osoby. Czary, amulety i talizmany. Zł. 2.—.

ST. A. WOTOWSKI: „Wielka księga cudów i tajemnic" „Czarna i Biała Magja". Tajemne praktyki, zaklęcia i recepty, z wielu ilustracjami. Zł. 4.—.

T. KUTZ: „Doświadczenia spirytystyczne — stoliki wirujące". Jak urządzać seanse spirytystyczne. — Zjawiska, eksperymenty i doświadczenia. Słownik terminów okultystycznych. Zł. 2.—.

FR. SZMURŁO: „Ze świata tajemnic". — Spirytyzm. Okultyzm. Metapsychika. Komunikaty zaświatowe. Ewokacje zmarłych. Telepatja. Lecznictwo medjalne. Magnetyzm. Zdolności. Powodzenie w miłości. Leczenie wszelkich nałogów. Jasnowidzenie. Zł. 3.—.

SZYLLER-SZKOLNIK: Praktyczny podręcznik Chiromancji (linje rąk), fizjognomika (rysy twarzy), astrologja (nauka wpływu gwiazd na losy), z ilustr. Zł. 3.—.

SZYLLER-SZKOLNIK: „Spotęgowanie woli". Jak zostać silnym i wyzwolonym człowiekiem. Zł. 1.50.

SZYLLER-SZKOLNIK. Z kim się ożenić. Jak poznać przyszłą żonę? Zł. 1.—.

SZYLLER-SZKOLNIK. Za kogo wyjść zamąż? Zł. 1.—.

Zawiadamia P. T. Publiczność, zajmującą się teatrami amatorskiemi, że jej nakładem wyszły z druku oddawna pożądane sztuki teatralne popularnego:

autora Kazimierza Majeranowskiego, mianowicie:

OBYWATELKA Z KROWODRZY — wodewil ze śpiewami, kupletami i tańcami w czterech aktach, z muzyką Józefa Maleczka, z ilustr.

MUCHY KLEPARSKIE — wodewil ze śpiewami, kupletami, tańcami i weselem krakowskim — w czterech aktach, z muzyką prof. Michała Świerzyńskiego.

ZMORY — sztuka ludowa ze śpiewami, kupletami i tańcami w 4 aktach, z muzyką Kazimierza Emskiego, nadającą się dla teatrów włościańskich.

GDZIE DJABEŁ NIE MOŻE, czyli **NASZE SŁUGI** — wodewil ze śpiewami, kupletami i tańcami, osnuty na tle życia kolejarzy, w 5 aktach, z muzyką St. Ekiera. Powyższe wszystkie sztuki, śpiewy i kuplety są zaopatrzone nutami na jeden głos z podkładem słów i kompletną muzyką na fortepian. — Cena po 4 zł. za egzempl.

K. KRUMŁOWSKI: Białe fartuszki, wodewil w 4 aktach z tańcami, muzyka St. Ekiera 2 zł. „Królowa Przedmieścia", wodewil w 5 aktach z tańcami, muzyka W. Powiadomskiego 2 zł. „Śluby rybackie", wodewil w 4 aktach, muzyka Z. Górzyńskiego 2 zł. Przewodnik tatrzański, wodewil w 4 aktach, muzyka J. Tesarzika 2 zł. — Zbiór komedyjek (sześć) razem 80 gr.

ST. A. WOTOWSKI: „Tajemnice życia i śmierci". Życie pozagrobowe, siedm rozdziałów. Zł 1.50.

P. SZMURŁO: „Świat nadzmysłowy i metoda jego badania". Zdolności nadnormalne. Zł. 1.—.

DR. WERNER: „Masaż". Leczenie wszelkich chorób zapomocą mięsienia. Z 14-ma ilustracjami. Zł. 1.50.

SCHREIBER M. Przewodnik Stolarski, wiadomości zwyczajnego i zbytkownego materjału i technologji mechaniczny z 146 ilustracjami — zł. 5.

KEHREN FR. DR MED. W cztery oczy szkoła miłości małżeńskiej, ilustrowane Zł. 7.—.

SZYLLER-SZKOLNIK: Astrologja Kabalistyczna, ułożona na zasadzie rewelacji słynnego medjum M-lle Ewigny-Rara. Zł. 2.—.

WOTOWSKI ST.: Magja i Czary. Z dziedziny wiedzy tajemniczej. Zł. 2.50.

WALEWSKA JANINA: Sztuka Pamięci (Mnemonika). Zł. 1.—.

KLECKI LEON: Samouczek Gry w Szachy, ilustr. Zł. 2.

ROSENBLUM DR. Samogwałt u mężczyzn i kobiet i jego skutki. Zł. 0.60.

NAJNOWSZE TAJEMNICE I ZAGADNIENIA CZARNEJ MAGJI: Hypnotyzm, Spirytyzm i Magnetyzm. Zł. 3.—.

Wielkie dzieło lekarskie, nowe lecznictwo przyrodnie, książka do nauczania i podręcznik leczenia przyrodnego i ochrony zdrowia, zawiera 480 rycin, wiele tablic barwnych i 3 modele składane, ciała ludzkiego i jego wewnętrznych narządów, kolorowane. Dwa wielkie tomy ładnie oprawione, napisane przez Dr Biltza okazyjnie do sprzedania, cena zamiast 75 zł. **tylko 30 zł.**